

Gazeta Śremska



TACY SAMI

wrzesień
listopad 2015

-konkursy
-wystawy
-spotkania
-koncerty "Pod Psem"



Biblioteka

Publiczna im. H. Święckiego
w Śremlu

9-10/2015

ISSN 1231-7478

dwumiesięcznik

wrzesień/październik

rok XXV

cena 5 zł

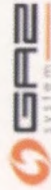


Jak za dawnych lat ROMANTYCZNIE

niedziela, 27 września 2015r.
godz. 14.00 - 18.00

**ŻYWE RZĘŻBY
TEATR NIKOLI
MUZYKA NA ŻYWO
BULWAR SZTUKI
FOTO-ATELIER RETRO
PARADA POSTACI LITERACKICH
DEGUSTACJA WYKWINTNYCH DAŃ**

w ubiorach retro, wiele atrakcji





Jezuita poetą...

Józef Baka urodził się – badacze różnie wskazują - w 1706 lub 1707 r., w szlacheckiej rodzinie z Kresów Wschodnich, a zmarł 2 czerwca 1780 roku w Warszawie (jak można znaleźć w biograficznych zapisach: była to jego pierwsza podróż do Warszawy).

str. 4



Czego pragnie widzieć?

Niezwykle rzadko mam okazję zobaczyć, co telewizja proponuje swoim widzom, ale nawet te nieliczne akty desperacji, kończę natychmiastowym wyłączeniem odbiornika.

str. 34



NASZ TALENT: Romana Filipowska

Jeszcze w trakcie studiów zaczęła grać w Teatrze Polskim w Poznaniu. Jednym z jej pierwszych spektakli był „Amadeusz” w reżyserii P. Szkotaka, w którym zagrała Konstancję - żonę Mozarta, śpiewając też fragment arii Mozarta.

str. 42

Spis treści

str. 03 444 słowa redaktora naczelnego

str. 04 Jezuita poetą...

str. 07 Moja Babcia Aniela – uczennica
Felicjany Szczerbińskiej cz. III

str. 11 Z Roxaną w Belgii

str. 14 Nina Szmyt

str. 16 Wieści z Ratusza

str. 20 Marsz żywych 2015

str. 24 Nikt nie umiera, dopóki go pamiętamy

str. 27 Odeszli, jakby wiatr ich rozwał.

Żydzi w Wielkopolsce cz. IV

str. 31 Leon May - zasłużony prezes Koła
Śpiewackiego „Moniuszko” w Śreміe

str. 34 Czego pragnie widzieć?

str. 38 Jaume Cabré. Zbrodnia i władza

str. 40 Kwestionariusz kultury

str. 42 Nasz talent: Romana Filipowska

str. 44 Plemię

str. 46 Moje magiczne miejsca

str. 50 20 lat Studia Plastyki Śremskiego
Ośrodka Kultury cz. II

str. 53 Śremski Ośrodek Kultury

str. 56 Tacy sami

str. 58 Wakacje w Bibliotece



foto. Fuji

444 słowa redaktora naczelnego

Cenię kilka osób, które funkcjonują w przestrzeni medialnej i prowadzą dyskusje między sobą. Jak być może się Państwo domyślicie, nie są to przedstawiciele tak zwanej klasy politycznej, której zawołaniem jest „ja Pani/Panu nie przerywałam/przerywałam”. W takiej rozmowie na ogół nie padają argumenty, bo łatwiej użyć inwektyw, tak jak wiedzę łatwiej zastąpić emocjami. Rozmówcy godni uwagi mogą występować z różnych pozycji: czasem rozmawiają o problemie wzajemnie dookreślając zagadnienie, gdzie zróżnicowanie poglądów pozostaje nieujawnione lub gra zupełnie drugoplanową rolę albo dyskutują wymieniając skrajnie różne poglądy na istotny (dla innych może błahy) temat. Do moich faworytów w tej kategorii należą zasiadający po drugiej stronie szklanego ekranu „aktorzy” publicystyczno-humorystycznego programu „Dwie prawdy”. Skądinąd znamy ich ideowe preferencje, które dla większości krwiożerczych rodaków sytuowałyby panów po przeciwnych stronach niebotycznej barykady. A tu wielka niespodzianka. Dyskutanci, przeciwnicy intelektualni wymieniający argumenty i przyjmujący je z uśmiechem a nie wrogością, z którymi nie wystarczy się nie zgadzać, trzeba ich podeptać, a najlepiej zjeść z ostrymi przyprawami.

Niedawno wziąłem udział w godzinnej audycji radiowej (jako „aktor”), w której rozmówcami byli trzej szefowie lokalnych muzeów w Wielkopolsce. Dyskusja miała charakter dookreślenia problematyki, a nie zatracenia się w jałowym sporze. Wiem, to nie brzmi jak news na pierwszej stronie, ale to naprawdę jest wartością. Rozmowa potwierdziła bliskość poglądów. Lokalne muzea zwykle nie leżą na turystycznej trasie, co w praktyce oznacza, iż muszą udowadniać swoją przydatność. Ich siłą musi być bieżąca użyteczność. Odchodzą od roli XIX-

wiecznego składowiska osobliwości lub naukowych osiągnięć, bo te są przecież dostępne w innych formach przekazu, na rzecz dostarczania widzom informacji im praktycznie potrzebnych (historia rodziny, praca semestralna w szkole) lub po prostu zajmują się organizacją czasu wolnego. Lokalność, identyfikacja z miejscem, rodzinnymi wspomnieniami, pozornie błahie w charakterze, dostępne również gdzie indziej przedmioty nabierają w konkretnym muzeum niepowtarzalnej wartości. To jest kapitał startowy, który sam w sobie jest jednak paliwem na krótki dystans. Aby energii starczyło na dłuższy konieczny jest dialog z publicznością, polegający na korzystaniu z wiedzy mieszkańców w identyfikacji materiałów historycznych, współorganizowaniu przedsięwzięć kulturalnych i patriotycznych, współredagowaniu gazety wydawanej przez muzeum. Ważne jest stwarzanie pola dla interaktywności poprzez formy współudziału widza w muzealnym spektaklu (Fotoatelier w stylu retro). Zmierzamy więc do oparcia przekazu na obiektach i stosowania interaktywnych środków komunikacji z widzami tylko wtedy, gdy jest to uzasadnione. Nie nasycamy wystawy technologią, aby widza onieśmielić lub odwrócić jego uwagę od treści przedmiotu.

Słabość i siła idą w parze, a właściwie są tożsame, bo lokalne muzea są atrakcyjne dla mieszkańców przez ludzką skalę, a jednocześnie ta skala nie pozwala im na organizowanie wielkich, drogich przedsięwzięć, które mają większe szanse na dofinansowanie zewnętrzne. Małe i wielkie muzea tkwią w tym samym morzu przepisów. Nie o takie zrównanie praw jednak chodzi.

Mariusz KONDZIELA

Jezuita poetą...

Warto przypomnieć

Józef Baka urodził się – badacze różnie wskazują – w 1706 lub 1707 roku, w szlacheckiej rodzinie z Kresów Wschodnich, a zmarł 2 czerwca 1780 roku w Warszawie (jak można znaleźć w biograficznych zapisach: była to jego pierwsza podróż do Warszawy). Pochowany tam w nieoznakowanym grobie w podziemiach jezuickiego kościoła Matki Bożej Łaskawej przy ulicy Świętojańskiej.

Do zakonu jezuitów wstąpił w 1723 roku, święcenia kapłańskie otrzymał w 1735 roku, a śluby zakonne złożył 15 sierpnia 1740 roku. Potem uczył w kolegiach jezuickich, a w latach 1735-1739 wykładał retorykę na Akademii Wileńskiej.

Ksiądz Baka prowadził intensywną działalność misyjną na wschodnich kresach Rzeczypospolitej. O jego zaangażowaniu może świadczyć fakt, że w roku 1739 za pieniądze pochodzące ze sprzedaży oddanych mu przez ojca wsi, nasz autor założył w Błoniu w powiecie ihumeńskim własną placówkę, nazywaną *Missio Bakana*. W latach 1741-57 ksiądz Baka był jej superiorem (przełożonym).

Historycy literatury odnotowują łaciński panegiryk prozą autorstwa księdza Baki, poświęcony dobroczyńcy jezuitów, Janowi Ludwikowi Platerowi (*Comitia honorum et aviti splendoris Joannis Ludovici Plater*, Wilno 1736). Znanе jest także dzieło hagiograficzne o św. misjonarzu Janie Franciszku Regnisie, zatytułowane *Wielki obrońca upadłej grzeszników przed Bogiem sprawy...* (Wilno 1755). Jako polski poeta Baka ujawnił się natomiast dość późno, wydając dwuczęściowy tom *Uwagi rzeczy ostatecznych* w roku 1766. Na jego pierwszą, poważną w zamyśle część,

w większości zawierającą utwory o charakterze modlitewnym, nikt obecnie nie zwraca uwagi. Za główne dzieło Baki uchodzi natomiast część druga zbioru – wydawane później osobno *Uwagi o śmierci niechybnej*. Dzieło to po dziś dzień prowokuje skrajne opinie. Z jednej strony uznawane jest za najbardziej jaskrawy przykład barokowego zepsucia smaku (za źródło tej opinii można uznać dwór Stanisława Augusta Poniatowskiego). Negatywny obraz poety wzmacniały choćby podręczniki historii do szkół podstawowych, prezentujące jego postać jako negatywny symbol czasów saskich, obraz pozytywny starano się natomiast budować za pomocą nagrody poetyckiej jego imienia, ustanowionej przez czasopismo „Frona”. Być może właśnie podobne sprzeczności skłoniły Czesława Hernasa, by w swoim podręczniku określił Bakę za pomocą wewnętrznie sprzecznej etykiety „epigoński mistrz”.

Przyczyną tak jaskrawych różnic w ocenie jest przyjęta przez Bakę poetyka, według klasyfikacji z epoki określana mianem *stilus furiatius*, to jest „stylu szalonego”. Polega on na dążeniu do wzbudzenia w czytelniku skrajnych stanów emocjonalnych, na świadomej przesadzie w groteskowo konkretnym obrazowaniu, wreszcie na łączeniu ze sobą słów przynależnych do różnych rejestrów stylistycznych (np. język refleksji religijnej zderzony z opisami przeróżnych obrzydliwości). Tytuł „Uwagi o śmierci niechybnej” oznacza, iż to sama śmierć wypowiada w tych wierszach pouczenia skierowane do różnych adresatów. Można wśród nich znaleźć młodych (i to właśnie utwór „Młodym uwaga” był szczególnie chętnie cytowany jako przykład skrajnej grafomanii), starych, duchownych, damy, rycerzy „patriotów

Korony Polskiej”, cudzoziemców, „panów dysydentów” (to jest innowierców), mieszczan, kmieci, a nawet „zabawne, czy zatrudnione chmielem głowy”. Innymi słowy jest to reaktywacja średniowiecznego motywu tańca śmierci, za którą w korowodzie szli przedstawiciele wszystkich stanów. Do cyklu jest dołączonych kilka utworów na tematy ogólniejsze charakteryzujących się jednak podobną manierą (co w zestawieniu z raz po raz wzywanyimi imionami Maryi i Jezusa tworzy dość osobliwy efekt), a także pisany prozą „Testament codzienny chrześcijanina”. Dziwność i radykalizm prezentowanej przez ks. Bakę poetyki sprawiają, iż obok jego twórczości nie można przejść obojętnie, nawet jeśli jej tematyka wydaje się współczesnemu czytelnikowi przebrzmiała. Z pewnością nie jest to ten tryb odbioru, o jaki pobożnemu misjonarzowi chodziło, gdyż wszystkie jego osobliwe zabiegi literackie miały prowokować do duchowego wstrząsu, nie zaś do zdystansowanego zdziwienia. Z drugiej jednak strony fakt, że ta poezja wciąż jest w stanie wzbudzić jakąkolwiek reakcję czytelniczą, dobrze świadczy o niespokojnej wyobraźni jezuickiego poety.

Adam LEWANDOWSKI

Opracowano na podstawie publikacji Pawła Koziół – październik 2008 r. Tekst opracowany do projektu internetowej „Antologii polskiej poezji od Średniowiecza do wieku XXI”.

Duchownym

*Mości księżu, pieścidelko,
Proszę zgadnąć, gdzie pudelko*

*Zamczyste, sklepiste,
Co księżu mitręży?*

*Wszak w kościele klejnot drogi
Ksiądz, nie mosiądz - skarb to mnogi.
Więc strata zakata
Dość znaczna, niebaczna*

*By nie była, fata skryją
Dość przezornie i zaryją
Tak wiecznie, bezpiecznie
Odzguby bez chluby.*

*Mój duchowny, dość wymowny
Lecz na stronie, nie w ambonie.
On cicho: grzech lichy
Nam robi, nie zdobi.*

*Gdy pożary, we dzwon biją,
Wraz kościelne spiże wyją.
Gdy grzmoty z suchoty,
Gdy chmury, z nieb góry,*

*Ach!, pioruny z gniewu chmury,
Rzuca gęba z impostury.
Wołajże i dbajże
Nasz Mófty, mów, mów ty!*

*Nie zaleta czci kapłańskiej
Być dozorcą trzody Pańskiej,
A trzody do zgody
Nie wprawiać, namawiać.*

*Ksiądz nie księżu, niechże grzeje
Słońcem cnoty, niechaj wleje
W nas ducha, aż skrucha
Na duszy nas skruszy.*

Mości księżu, twe oręże,

Brewijarze i ołtarze,
Znać dają, wołają
Oprawy, poprawy.

Sam nie chwalisz, mości księże,
Kto źle chowa swe oręże.
Mój księże, oręże
Za pasy w złe czasy.

Nie chowajże je w pokrowcu,
Nim zagrzebią cię w grobowcu.
Do dania, nie brania,
Kurcz męczy i dręczę.

Z ręką skąpą zginią oczy,
Wkrótce życie w dół poskoczy:
Szóstaki w żebraki
Pozbywaj, zdrów bywaj!

Książdz ksiąg miewa futerały,
A pokrowiec w trunnie trwały
Śmierć mściwa sposzywa,
Gotuje, czatuje.

Zła nowina, mości księże:
Nas czekają żaby, węże;
Dzwonnica tęsknica
Zahuczy, zamruczy!

Żyj z ołtarza, mój pasterzu,
Trzymaj z Bogiem nas w przymierzu
Skutecznie, statecznie
Cnotami, modłami.

Bożych darów nie z pucharów
Ampuleczką, nie lampeczką
Używaj, przebywaj,
By nad stan nie był dzban.

Mości księże teologu,
Nim w śmiertelnym staniem progu
Nas spytaj, przeczytaj
Z psalterza: "Śmierć zmierza".

Mości księże kapelanie,
Kiedy pora nam nastanie,
Że tańce w różańce,
Nowinki w godzinki

Zamienią się, nasze karty

W książki święte, bo nie żarty?
Żartujem, kartujem:
Śmierć czeka człowieka.

Świat nie światło: ty świecznikiem!
Oświecajże słów promykiem,
Ni chuchu, ni ducha.
Ćmią cienie sumnienie!



Moja Babcia Aniela— uczennica Felicjany Szczerbińskiej cz. III

Rodzina

Z zeszytu Anieli Robaszyńskiej pt. „Układ” z roku 1903: *Grzeczność i uprzejmość. Zanim zaczniemy wyliczać zwyczaje światowe, powiemy kilka słów o grzeczności, o której powiedzieć można, że jest: „tem dla umysłu czem wdzięk dla twarzy”. Grzeczność, uprzejmość, delikatność jest podstawą dobrego wychowania, a obowiązującą w stosunkach towarzyskich, w życiu rodzinnym, w interesach i w ogóle we wszystkich relacjach życia. Narodowe nasze przysłowie: „Na grzeczności nikt nie traci”, wskazuje najlepiej, że grzeczność jest obowiązkiem wszystkich, że pamiętania o tym*

obowiązku nikt nie żałował, a zapomnienie o nim nieraz niejednem wielkiem przykrością przyplacić przyszło. Bez grzeczności nie można porozumiewać się z bliźniemi. Ona to łagodzi obyczaje, uspakaja zatargi; ona sprawia, że przełożeni nas lubią, a podwładni szanują.

W domu rodzinnym moja Mama nie zastała też swojej siostry Mani i najmłodszego brata Mariana, którzy zostali wysłani do Niemiec na roboty.

Choć każda z pięciu córek Anieli i Stanisława była urodziwa, uważam, że najładniejszą była właśnie Mania. Będąc małym dzieckiem, zachorowała na szalejącą w tym czasie w Europie gripę zwaną „hiszpanką”. Jednocześnie z nią zachorowała też Babcia Aniela. Stan Mani był tak beznadziejny, że odstąpiono od jej ratowania, a zajęto się jej mamą. Dziadek bryczką przywiózł ze Śremu doktora Seweryna Matuszewskiego i dzięki jego doświadczeniu i zaangażowaniu obie wyszły zdrowe z tej śmiertelnej choroby. Jeszcze przez jakiś czas przywożono siostrę zakonną, która robiła chorym zastrzyki, a doktor Matuszewski, będąc u innych chorych, sprawdzał jak się czują jego pacjentki.

Od 1935 roku Ciocia Mania pracowała jako ekspedientka w piekarni-cukierni w Poznaniu przy ulicy Marszałka Focha (dzisiejsza Głogowska). W pierwszych latach okupacji piekarnia nadal istniała, tylko szefem został Niemiec. Ciocia od czasu do czasu, korzystając z zasobów niemieckich, robiła paczuszki, które przez znajomych trafiały najpierw do Śremu do wujostwa Wałdowskich, a potem do Dziadków w Górze. I właśnie 13 maja 1942 roku, taka paczka, z kaszką i słodyczami, została przechwycona przez niemiecką policję, a po

Ciocie: Maria (od prawej) i Ludka w przedwojennym Poznaniu





Wujek Mietek (drugi od lewej) w obozie jenieckim w Rumunii, listopad 1940 r.

Ciocie przyszło gestapo. Najpierw zamknęli ją na Młyńskiej, potem 5 miesięcy przebywała we Wronkach, a w listopadzie wysłana została do Niemiec, do fabryki amunicji w Monachium. Praca w ogromnych halach przy ciężkich maszynach była bardzo wyczerpująca. W zimie przymarzały dłonie do metalu, w lecie robiło się piekło. Kiedy maszyna, którą obsługiwała, popsuła się, Mania została pobita przez dozującą Niemkę. Kiedyś została przyłapana na pisaniu listu w toalecie i za to musiała przez wiele dni stać przy maszynie boso na lodowatym betonie. Pomimo ciężkich warunków wojennych, zesłani z różnych zakątków Europy starali się żyć normalnym życiem; zawiązywali przyjaźnie i bliższe sympatie. Mamy z tego okresu fotografię Cioci w białej bluzce, którą uszyła Jej z prześcieradła koleżanka z monachijskiej fabryki. Jeszcze przez kilka lat po wojnie korespondowały ze sobą, ale kiedy pozakładały rodziny, wołały żyć swoją codziennością i nie wracać do wojennych wspomnień.

Ciocia Mania z najmłodszym bratem Marianem odnaleźli się w Niemczech dopiero po wyzwoleniu obozów pracy przez żołnierzy amerykańskich. Wujek przed wojną uczył się w śremskim gimnazjum, był zdolnym rachmistrzem i prawdopodobnie dlatego został

zatrudniony w majątku hrabiego Platara w charakterze buchaltera. Pałac po wejściu okupanta zajął SS-man Schmiedt, bardzo zły człowiek, a zarządcą był niejaki Cybulski. Jeszcze przez jakiś czas udawało się Marianowi prowadzić księgowość, ale i On został wkrótce wywieziony do Niemiec i zasilił rzeszę robotników w fabryce broni. Nie znamy szczegółów, ale Wujek podczas pobytu w obozie pracy poznał Jadwigę, Niemkę, którą wkrótce poślubił. Kiedy po wyzwoleniu spotkał się z siostrą Manią, gorąco ją namawiał, aby wyjechała z nimi do Kanady. Był gotów załatwić Mani wszystkie formalności związane z tym wyjazdem. Sam do Polski nie chciał wracać, ponieważ z kraju docierały wiadomości, że różnie byli traktowani powracający z niewoli, a w Jego przypadku przywiezienie żony – Niemki zapewne nie byłoby mile widziane. Ciocia Mania długo zastanawiała się co zrobić. Chociaż paszport został Jej wystawiony w październiku 1945 roku, granicę w Czechowicach k. Cieszyna przekroczyła dopiero w czerwcu następnego roku. Wspominała później, że poznała w fabryce pewnego Słowaka, który proponował Jej wyjazd do swojego kraju i ślub. Być może to był powód, dla którego opóźniła swój powrót do Polski?

Aby opisać wojenne losy kolejnego z rodzeństwa Kaczmaków, Mieczysława, muszę powrócić do

Ciocie przyszło gestapo. Najpierw zamknęli ją na Młyńskiej, potem 5 miesięcy przebywała we Wronkach, a w listopadzie wysłana została do Niemiec, do fabryki amunicji w Monachium. Praca w ogromnych halach przy ciężkich maszynach była bardzo wyczerpująca. W zimie przymarzały dłonie do metalu, w lecie robiło się piekło. Kiedy maszyna, którą obsługiwała, popsuta się, Mania została pobita przez dozorcą Niemkę. Kiedyś została przyłapana na pisaniu listu w toalecie i za to musiała przez wiele dni stać przy maszynie boso na lodowatym betonie. Pomimo ciężkich warunków wojennych, zesłani z różnych zakątków Europy starali się żyć normalnym życiem; zawiązywali przyjaźnie i bliższe sympatie. Mamy z tego okresu fotografię Cioci w białej bluzce, którą uszyła Jej z prześcieradła koleżanka z monachijskiej fabryki. Jeszcze przez kilka lat po wojnie korespondowały ze sobą, ale kiedy pozakładały rodziny, wołały żyć swoją codziennością i nie wracać do wojennych wspomnień.

Ciocia Mania z najmłodszym bratem Marianem odnaleźli się w Niemczech dopiero po wyzwoleniu obozów pracy przez żołnierzy amerykańskich. Wujek przed wojną uczył się w śremskim gimnazjum, był zdolnym rachmistrzem i prawdopodobnie dlatego został zatrudniony w majątku hrabiego Platara w charakterze buchaltera. Pałac po wejściu okupanta zajął SS-man Schmiedt, bardzo zły człowiek, a zarządcą był niejaki Cybulski. Jeszcze przez jakiś czas udawało się Marianowi prowadzić księgowość, ale i On został wkrótce wywieziony do Niemiec i zasilił rzeszę robotników w fabryce broni. Nie znamy szczegółów, ale Wujek podczas pobytu w obozie pracy poznał Jadwigę, Niemkę, którą wkrótce poślubił. Kiedy po wyzwoleniu spotkał się z siostrą Manią, gorąco ją namawiał, aby wyjechała z nimi do Kanady. Był gotów załatwić Mani wszystkie formalności związane z tym wyjazdem. Sam do Polski nie chciał wracać, ponieważ z kraju docierały wiadomości, że różnie byli traktowani powracający z niewoli, a w Jego przypadku przywiezienie żony – Niemki zapewne nie byłoby mile widziane. Ciocia Mania długo zastanawiała się co zrobić. Chociaż paszport został Jej wystawiony



Ciocia Ludka i Józef Hańć (mój przyszły ojciec) w piekarni wujka Mietka w Śremie

w październiku 1945 roku, granicę w Czechowicach k. Cieszyna przekroczyła dopiero w czerwcu następnego roku. Wspominała później, że poznała w fabryce pewnego Słowaka, który proponował Jej wyjazd do swojego kraju i ślub. Być może to był powód, dla którego opóźniła swój powrót do Polski?

Aby opisać wojenne losy kolejnego z rodzeństwa Kaczmarków, Mieczysława, muszę powrócić do 1935 roku, bo z sierpnia tegoż roku znalazła się w albumie ze starymi fotografiami kartka pocztowa. Oto jej treść: *Wna Pani Leokadja Kaczmarkówna Poznań Aleje Marcinkowskiego Nr 5 m.6. Kochana Siostró, a więc my prawdopodobnie będziemy odjeżdżać 29 sierpnia więc postarajcie się i przyjeździe obydwie z Manią na niedzielę. Mieczek prosił żebyście mu przywiozły wszystko co tam jest jego. Mieciu pracuje u Furmanka w Śremie. Do zobaczenia się. Ludwinia. Góra, 19.8.35.*

Można z tego tekstu domyślić się, że Ludwinia spędzała wakacje z pięcioletnim synkiem Ryszardem u Rodziców, i że przed wyjazdem

gdzie poważnie zachorował na malarię. Kiedy został wyleczony, w czym jak twierdził, pomogła Mu barchanowa koszula, wygrana w karty w obozie, skierowano Go do pracy u niemieckiego bauera. Trafił do dobrej rodziny, szczególnie żona gospodarza była miłą i życzliwą osobą wobec przymusowych robotników. Posiłki spożywali razem z gospodarzami. Wujek w czasie okupacji był dwa razy na przepustce w domu. Geniu pamięta, że podczas jednego z pobytów tata zbił z desek klatkę, w której znalazły się dwie kury i od tego czasu mieli z mamą świeże jajka. Pod koniec wojny, kiedy ojcowie kolegów zaczęli powracać do domów, sześciolatek Eugeniusz bardzo pragnął zobaczyć swego rodzica. Ale nie nastąpiło to tak szybko. Jeszcze przez jakiś czas Wujek pływał po Dunaju statkiem, zbierającym wszystkich wywiezionych na obczyznę rodaków. Geniu opowiadał, że pewnego razu przybiegli z wiadomością od Szczepaniaków, że mają z mamą iść do piekarni, bo ktoś na nich czeka. Kiedy tam się znaleźli, chłopiec zobaczył mężczyznę w marynarskim mundurze. Nie poznał Ojca, ale tak bardzo chciał, żeby to był właśnie On, że bez namysłu rzucił się w ramiona przybysza. Nareszcie byli razem.

O okupacyjnych losach kuzyna Genia w Śremie chcę napisać w następnej części. Będą to wydarzenia zapamiętane przez kilkuletniego chłopca, które nadal są niezatarte w Jego 76-letniej pamięci. Splatają się one z życiem cioci Tosi i wujka Kazia Wałdowskich, którzy też lata okupacji spędzili w Śremie.

Ciocia Tosia poznała Kazimierza podczas swego pobytu w Poznaniu. Wujek zdobył w Drukarni św. Wojciecha zawód zecera i linotypisty i tam pracował. Był bardzo mądrym człowiekiem, posiadał dużą wiedzę, sam nauczył się doskonale języków niemieckiego i francuskiego. Problemy finansowe drukarni sprawiły, że został wraz z innymi zwolniony z pracy. Wujek dowiedział się z gazety, że Drukarnia im. Karola Miarki w Mikołowie na Śląsku poszukuje zecera. Zgłosił się, został przyjęty i wtedy sprowadził do Mikołowa Ciocię Tosię a w czerwcu 1935 roku wzięli ślub. Świadkami na nim byli wujek Leos i kolega z pracy. Cztery lata później wybuchła wojna i sytuacja dla Polaków mieszkających na Śląsku zrobiła się niebezpieczna. Wałdowsky



Wujostwo Tosia i Kaziu Wałdowsky krótko po ślubie w Mikołowie

postanowili się rozstać i uciekać różnymi drogami na wschód. Wujek z innymi doszedł do Zieleńca, a Ciocia z kobietami aż do granicy rumuńskiej. Po dniach tułaczki, kiedy wojska sowieckie przekroczyły granicę, spotkali się w Krakowie. Udało się im przedostać do Poznania, ale o pracę było tam bardzo trudno. Był rok 1940. Tak się złożyło, że w tym czasie w piekarni wujka Mietka brakowało rąk do pracy i wujostwo Wałdowsky sprowadzili się do Śremu, aby pomóc Cioci Steni. Wujek ukrywając przed Niemcami swój zawód drukarza, sprzedawał razem z ciocią Ludką w sklepie i prowadził rachunki. Też w tym czasie w piekarni zjawił się mój późniejszy Ojciec, Józef, który uciekł z niewoli niemieckiej. Niemcy bardzo szybko w dokumentach ewidencyjnych odkryli, że Wujek jest drukarzem i zatrudnili Go w Schrimmer Druckerei Fritz a Wolfa.

Maria KONIECZNA

Z Roxaną w Belgii

*Pobyt w Belgii zapamiętam do końca życia. Nie spodziewałam się, że tak bardzo nie będzie mi się chciało stamtąd wyjeżdżać. Szczęściem jest spotkać tylu nowych, wspaniałych, życzliwych i kochanych ludzi, którzy bez problemu przyjmą pod swoje skrzydła.**

Nieoczekiwane zaproszenie pojawiło się w czasie, gdy Roxana Tutaj uczestniczyła w telewizyjnym show „Must be the Music. Tylko muzyka”. Nie znaliśmy jeszcze wtedy terminów półfinałów. Była więc pewna obawa, niepewność – czy w razie awansu Roxany nie nastąpi kolizja w kalendarzu. Na szczęście udało się to wszystko pogodzić. Po kolejnym brawurowym, półfinałowym tym razem, występie naszej wokalistki („Roxana Petarda” wg. słów jurorów) można było zacząć przygotowania do wyjazdu.

Ostatnie kilka dni maja spędziliśmy wśród Polaków w Belgii. Bruksela i Ardeny. Koncertowanie Roxany połączone z cudownymi

spotkaniami i zwiedzaniem pięknych miejsc. Udział w Złocie Polaków.

Bruksela. Od czwartku do soboty. Cudowne przyjęcie w polskich domach. Gościnność, serdeczność, życzliwość, uczynność. Wspaniały kontakt od pierwszej chwili. Ciepła, rodzinna atmosfera. Rzecz jasna, na ile starczyło czasu, zwiedzaliśmy miasto. Miasto łączące tradycję i historię z nowoczesnością, gdzie na każdym miejscu widać wielokulturowość... Nasi gospodarze spełniali wszelkie życzenia. Było więc m.in. imponujące „Atomium” zbudowane na światową wystawę Expo oraz znajdujący się w pobliżu, znany z tragicznych wydarzeń stadion Heysel. W najwyższej kuli Atomium – oczywiście wspaniałe widoki panoramy miasta, ale też dodatkowa atrakcja: na zewnątrz wiatr, więc w środku bujało jak na statku.

Oczywiście, również Grand Place, ogromny, z przepiękną zabudową, w centrum starej części miasta. Przyległe do niego wąskie, urokliwe,

Z przyjaciółmi z Comblain La Tour



„klimatyczne” uliczki, sympatyczne kawiarenki, no i symbol Brukseli – Maneken Pis, pomnik chłopca, pod którym fotografowały się prawie wyłącznie panie... Niestety na Placu nie było słynnego dywanu kwiatowego – dowiedzieliśmy się, że pojawi się tam w przyszłym roku (trzeba będzie znów tam pojechać?). Za to pod powierzchnią zabytkowego terenu – ogromny, wielopoziomowy parking.

Byliśmy także tam, gdzie nie chodzą wycieczki, czego przykładem nocna wizyta w pracującej pełną parą polskiej piekarni. Jedliśmy, jeszcze ciepłe, smaczne, nasze polskie pieczywo!

*Odwiedziłam m.in. upatrzony przez siebie obiekt w Brukseli, jakim jest Atomium. Fajne uczucie, widzieć coś niedawno w internecie, a za chwilę znaleźć się tam. Jakież widoki! Panorama niesamowita. Bruksela jest przepięknym miejscem.**

Koncert. Jak to zwykle u Roxany – była różnorodność muzyczna i stylistyczna, sinusoida emocji, od krzyku do szeptu, od wspólnego z publiką śpiewania do kompletnej ciszy na widowni. I oczywiście ta jej, słynna już autentyczność, swoboda na scenie i wspaniały kontakt z publicznością. To wszystko znamy. (Słyszeliśmy przecież, jak Elżbieta Zapendowska powiedziała do Roxany, że „ma wszystko”). Czymś normalnym są też bisy. Tym razem, gdy spotkanie dobiegało końca rozległo się sportowe skandowanie „jeszcze jeden!”.

Prowadząc ten koncert, mówiąc coś tam ze sceny, a nawet w kilku momentach akompaniując Roxanie (grzeczna publiczność przyjęła to z wyrozumiałością – ha!) czułem, że oto dzieje się coś niezwykłego... W doborze repertuaru postawiliśmy szczególnie akcent na teksty (często poetyckie) i to właśnie okazało się kluczowe. Zasłuchani, zadumani, czasem wzruszeni, a gdy trzeba – włączający się do śpiewu ludzie „wyłapywali” dla siebie nieraz pojedyncze zdania. Komentowali, interpretowali je w rozmowach po zakończeniu koncertu. A do tego (pochwalili się nam) fotografowali, nagrywali i – po koncercie wielu ustawiło się w kolejce do Roxany po autografy...

Z samego koncertu również jestem zadowolona. Miło będę wspominać słowa osób, na których zrobiłam z początku takie oto wrażenie hmmm... jakaś gówniara mała przyjechała z aparatem na zębach i ona będzie śpiewać?. Potem im mina

*trochę zrzęda – haha. Ale nie mówili, broń Boże, tego uszczypliwie, tylko z uśmiechem na twarzy. Widownia nie spodziewała się takiego koncertu. To mnie jeszcze bardziej ucieszyło, bo na koniec uradowani przychodzili z gratulacjami i ciepłymi uściskami. Widzieć uśmiechnięte, szczęśliwe osoby po moim koncercie... Powtarzam to bardzo często, ale to właśnie publiczność i jej zadowolenie daje mi solidnego kopa. To dzięki nim też otwieram się i jestem dla nich. Śpiew to przedłużenie mowy. A ja uwielbiam z ludźmi rozmawiać. To są emocje, radość, łzy, rozpacz, uśmiech, szczęście. Ja cała.**

A do nagrywania, to rzeczywiście byli tacy, którzy potem jeszcze (i jeszcze) wybranych utworów słuchali. Dodam więc, że niecodziennym, niesamowitym zwieńczeniem koncertu był telefon z Brukseli, który Roxana odebrała już w drodze powrotnej do Polski i wzruszające wręcz słowa, które wtedy usłyszała...

Comblain La Tour. Sobota i niedziela w tej niewielkiej miejscowości w belgijskich Ardenach, w pobliżu Liege i słynnego Spa. Ośrodek Wypoczynkowy Polskiej Macierzy Szkolnej w Ardenach (Le Centre Millennium – Dom Polski w Ardenach).

Miejsce magiczne dla belgijskiej Polonii. W 1961 r. Polska Macierz Szkolna w Belgii zakupiła stary opuszczony hotel, z przylegającym doń pięknym parkiem, tuż przy samej rzece Ourthe. W ośrodku odbywają się m.in. imprezy okolicznościowe dla (nie tylko belgijskiej) Polonii. Jest to też miejsce dorocznego Zlotu. W tym roku uczestniczyło w nim ponad dwieście osób. Przybyli (nierzadko całymi rodzinami) z Belgii, Holandii, Luksemburga, Niemiec, Francji.

Polacy. Mieszkają poza krajem, niektórzy zostali tam już w stanie wojennym, inni wyjeżdżali po 1989 r. Wyjeżdżając, z reguły planowali szybki powrót. Stało się jednak, że żyją na obczyźnie sporo lat. Często odwiedzają Polskę, w domu rozmawiają wyłącznie po polsku (wzorcowym wręcz przykładem jest tu 3-letnia, uroczą Ania!). Są na bieżąco z tym, co dzieje się u nas. Oglądają polskie programy tv (i stąd sporo z nich rozpoznawało Roxanę).

A więc – długie Polaków rozmowy. Na różne tematy, ale (na szczęście) – bez politykowania,



Comblain La Toun - Roxana na szczycie !

bez tego wszystkiego, co nas dzieli. Długi sobotni wieczór. Przy tym: zabawa, rozrywka, ognisko, kielbaski (dostarczone z Polski)... no i (zapomniałbym?) – oczywiście Roxana i jej głos! *Ognisko... Bardzo lubię takie klimaty – ludzie, gitara, śpiew. Czego chcieć więcej. I taka rodzinna atmosfera. **

Co jeszcze? Smaczne (bo polskie) jedzenie, morze kawy (tamtejszej). A przede wszystkim przewspañiała, rodzinna atmosfera – a może tak nie do końca rodzinna (?), bo w rodzinie sprzeczki bywają, a tam wszystko tak bezkonfliktowo, przyjaźnie!

W niedzielę z rana, dla chętnych, w małym, położonym na wzgórzu kościele – msza św. po polsku. Roxana znowu śpiewa. Obiad. Niektórzy się pakują i wyjeżdżają. Ale – jak to w górach: są tacy, którzy się wspinają na szczyty...

Jestem osobą, która lubi marzyć, zwiedzać, upajać się widokiem pięknych krajobrazów. Weszliśmy w ostatnim dniu pobytu wraz z 3 innymi osobami na górę, która znajdowała się obok ośrodka. Świetna przygoda! Szliśmy ciekawym szlakiem, przez krzewy, drzewa, pajęczyny. Adrenalinka się podwyższała w momencie, kiedy nie było się czego złapać, aby wejść dalej. A obuwiu też nieprzeznaczone do wspinaczek... Wąskie dróżki, jedyna asekuracja w paru momentach to skały, z doskoku trzeba było łapać się korzeni. To są może niezbyt ciekawe z opowiadań sytuacje, ale przeżyć takie coś, to super zabawa. Kompletnie inaczej się

*czuje kiedy w tym się jest. **

Ludzie. Otwarci, gościnni, bezpośredni, wrażliwi, serdeczni, uczynni, wspierający, weseli, pogodni... wszyscy, bez wyjątku – kobiety, mężczyźni, dziewczyny, chłopaki, dzieci. Zostaliśmy niesamowicie pozytywnie zaskoczeni. Spodziewaliśmy się, że będzie fajnie – ale że aż tak? Można powiedzieć, że przebywaliśmy nie tylko daleko od domu, ale również – daleko od naszych codziennych trosk, swarów, narzekañ. Bardzo dużo od tych ludzi otrzymaliśmy (myślę przede wszystkim o tej zarażającej pogodzie ducha). Może my też im coś daliśmy? Jeśli tak, to pozostaje już tylko się cieszyć.

Spotkanie tych wspaniałych ludzi jest najważniejszym owocem naszego pobytu w Belgii. Wszyscy... ale nie mogę nie wymienić tych, którzy byli z nami najbliżej i przez cały czas. Tych, na określenie których brakuje mi właściwych słów.

Po prostu: Bożenka, Rysiek, Marek, Sławek. Dziękujemy!

*Chciałabym kiedyś wrócić do tych ludzi, w te miejsca. Szczególnie miło będę wspominać ludzi, którzy nas ugościli w swoich domach. Taka pozytywna energia od nich biła, że człowiek sam się nią zarażał. Żarty, żarciki, kupa śmiechu! Uwielbiam osoby z poczuciem humoru a tam było ich mnóstwo! **

Wrócić... Roxana uczyniła zadość obyczajowi: pogłasła stosowne miejsce przy Grand Place w Brukseli i w ten sposób „zapewniła” sobie powrót (sprawdzone – zrobiłem to przed laty i teraz byłem ponownie!).

A póki co – zostaliśmy już zaproszeni na podobny Złot. Tym razem do Niemiec...

*Tak Roxana Tutaj wspomina te niezwykle majowe dni.

Leszek MAŃKOWSKI
fot. zbiory Roxany Tutaj

Nina Szmyt

Ludzie, których spotkałem

*Tańczymy czas przeszły powoli / tańczymy go
jeszcze nad ranem / tańczymy to co nas raduje i
boli / i to co najgłębiej schowane (...)*¹

Śremianka, polonistka na emeryturze, poetka, mama, babcia. Tak Nina Szmyt odpowiada na pytanie „Kim jestem”.² Poznaliśmy się w śremskiej Szkole Podstawowej nr 2. Lata wspólnej pracy. Spotkania prywatne – też. Ostatnio widzimy się rzadziej, ale zawsze z satysfakcją rozmawiamy. I też „tańczymy czas przeszły”.

Przeczytałem jej wyznania we wspomnianym kwestionariuszu i to skłoniło mnie do zmiany formuły tekstu, który przygotowywałem. Bo chyba nie powinienem zaprzeczać temu, co Nina sama mówi o sobie – ? Więc? Pójść na łatwiznę i powtórzyć to, co o Niej wydrukowano, o jej stosunku do ludzi, życia, o wadach, zaletach, cechach charakteru? Ale jest wyjście z pozornie „patowej” sytuacji: „Człowiek nie wie o sobie wszystkiego, a całkowita wiedza o nim samym składa się z wiedzy, którą posiada i tej, której nie posiada (wiedza innych o danej osobie, której ona sama nie posiada - przykładem takiej wiedzy są plotki, zazwyczaj nieznane zainteresowanemu)”.³ Pomijam plotki. Zostaje to, co zaobserwowałem. I teraz mogę nawet wdawać się w swoistą polemikę z tym, co mówi o sobie.

Nina Szmyt mówiąc o najcenniejszych rzeczach, jakie posiada nie wymienia niczego materialnego! Za to powtarza: „... i wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia...”. Więc powspominajmy. Szkoła: *To już tyle lat / tyle*

*lekcji / tyle dzwonek / tyle klasówek...*⁴ Ale, nie tylko lekcje i klasówki. Również kółka poetyckie, zarażanie uczniów umiłowaniem poezji, zachęcanie do pisania... I – to trwa – są spotkania poetki w szkołach, funkcje jurorki w konkursach, udział w tematycznych projektach, także współpraca z biblioteką i muzeum.

Wspomnienia. Spotkania towarzyskie w Jej domu ze starym ogrodem i „najpiękniejszymi mleczami w okolicy”. Wspaniała atmosfera, otwartość Niny. I Jej nieczęsto dziś spotykane poczucie humoru – inteligentne, skłaniające do refleksji, nie pozbawione ironii, z pewną dozą autoironii. Jakoś to takie „niedzisiejsze” chyba (co by na to powiedzieli kabareciarze, którzy sami się z własnych scenicznych wygłupów śmieją, dając sygnał publiczności, że już, teraz... hehe-?). Nina twierdzi, że jest dobra w metaforach. Tak jest – nie tylko w poezji! Mówi: „Zawsze śmieszy mnie snobizm, udawanie kogoś, kim się nie jest.” Górna półka!

Nasza Poetka w ogóle jest chyba nieco staroświecka :). Chciałaby żyć na przełomie XIX i XX wieku (ale – Nino – wtedy raczej trudno było o samochód, bez którego, jak mówisz, nie mogłabyś żyć...). Jej lęk wzbudza „galopujący postęp cywilizacji, którego stajemy się niewolnikami” – jest konsekwentna, bo np. nie używa komputera, pisze piórem ale także długopisem (tu jednak pewien postęp!), korzysta z pomocy ludzi, kserujących jej teksty... Lecz, tak całkiem serio, podziwiam osoby, które jak Ona – dostrzegają i zachwycają się pięknem natury oraz sztuki, stawiają wartości duchowe („chcę osiągnąć spokój ducha.”) ponad

¹ Nina Szmyt, *Taniec*”, w: *Różowa łąka*, Śrem 2012.

² Kwestionariusz kultury; *Gazeta Śremska* Nr 5-6/2015.

³ „Okno Johari” – pojęcie z zakresu psychologii (...) Obrazuje sposób percepcji rzeczywistości i (samo)świadomość danej osoby oraz postrzeganie tej osoby przez zewnętrznych obserwatorów dzieląc go na cztery obszary (...) Obszar trzeci - niewidoczny. „Ja nie wiem, nie widzę, inni wiedzą, widzą”. (vide: Wikipedia).

⁴ Nina Szmyt, w: *Uwierzyć w motyle*, Śrem, 1996.



materialnymi, ceniące u przyjaciół to, „że są”. Właśnie – są przyjaciele, a główna cecha charakteru to... samotność. Sprzeczność? Nie. Nie utożsamiamy samotności (wielu nie radzi sobie ze sobą sam na sam...) z osamotnieniem!

A gdzie moja zapowiadana „polemika”? Ano – według Niny jej wady to wrażliwość i niecierpliwość. Nie przeczę, Boże broń, że te cechy posiada. Ale, czy to muszą być wady? Bo jeśli jest wrażliwość na piękno i dobro, na potrzeby innego, a nawet na ludzką głupotę – to, czy to wada? Czy bez takiej wrażliwości istniałaby poezja? A niecierpliwość (w umiarkowanych ilościach)? Czyż nie może być impulsem do działania prowadzącego do zmian, do rozwoju (własnego również)?

...i wspomnienia. Rok 2012. Kinoteatr „Słonko”. Żegnam się z pracą, szkołą. Dziękuję ludziom... Zgodnie ze scenariuszem spotkanie kończy się recytacją pięknego, nostalgicznego wiersza Niny Szmyt. Ale potem... niespodzianka! Nina czyta specjalnie napisany na tę okazję pełen humoru i

pięknych życzeń „kuplecik” (tak to nazwała) i rozładowuje atmosferę. Mam ten rękopis. Napisany „w biegu”, na odwrocie kartki z innym tekstem ... taka też jest Nina!

Ten sam rok. W Muzeum Śremskim. Spotkanie z poetką, promocja „Różowej łąki”. Na zakończenie ustawiamy się (żona i ja) w kolejce po dedykację autorki na egzemplarzu tomiku. Nina pyta: „dla kogo?”. Mówimy: „dla nas”. No to poetka pisze „Dla Was”, z uśmiechem odkłada pióro i ... po obejrzeniu naszych min dopisuje: „Aniu i Leszku”. To też Ona!

Jaka jest Nina Szmyt? *Po pisaniu wierszy jestem lepsza / łagodniej / złośliwości u mnie jakby mniej / zbieram papiery na ulicy / a po bezsennej nocy / rano zaczynam pracowitym dniem.*⁵ ... I tu przypomniał mi się Mahatma Gandhi: *Nie jest najważniejsze, byś był lepszy od innych. Najważniejsze jest, byś był lepszy od samego siebie z dnia poprzedniego.*

Leszek MAŃKOWSKI
fot. zbiory Niny Szmyt

⁵ Nina Szmyt, w: Stara fotografia. Śrem 2008.



Wieści z ratusza

Spotkanie w sprawie współpracy gminy Śrem z PSP

4 września br. Burmistrz Śremu Adam Lewandowski spotkał się z Wielkopolskim Komendantem Wojewódzkim Państwowej Straży Pożarnej nadbryg. Wojciechem Mendelakiem, jego zastępcą st. bryg. Lechem Janiakiem w siedzibie Komendy Wojewódzkiej PSP w Poznaniu. Podczas rozmowy dyskutowano o współpracy gminy Śrem z PSP, w tym o zakupie największego specjalistycznego wozu dla PSP w Śremie oraz mniejszego wozu dla OSP w Niesłabinie. Ponadto omówiono stan zaawansowania budowy siedziby nowej komendy przy ul. Grunwaldzkiej w Śremie wraz z planem jej dokończenia w 2017 roku. W spotkaniu uczestniczył również Komendant Powiatowy PSP w Śremie mł. bryg. Sławomir Drozd i Dorota Tomysłak naczelnik pionu obsługi inwestorów i informatyzacji urzędu.

Prof. Zbigniew Kwias Honorowym Obywatel Śremu

1 września br. w auli Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Śremie odbyła się *Uroczysta X sesja Rady Miejskiej w Śremie*,

podczas której odbyło się wręczenie Aktu Nadania Tytułu **HONOROWY OBYWATEL ŚREM** prof. dr hab. n. med. **ZBIGNIEWOWI KWIASOWI**.

W auli zebrało się ponad stu gości – przedstawiciele śremskiego samorządu, powiatu śremskiego, 20 członków Rady Miejskiej w Śremie, przyjaciele i rodzina profesora Kwiasa. Burmistrz Śremu Adam Lewandowski wręczył profesorowi akt nadania tytułu, przypinkę, legitymację i pamiątkową statuetkę.

Honorowy Obywatel Śremu podzielił się z zebranymi wspomnieniami ze Śremu z lat młodości dziękując wszystkim za okazane wsparcie i wyróżnienie.

PROF. ZW. DR HAB. N. MED. ZBIGNIEW KWIAS

- urodził się 30 marca 1941 roku w Słomowie. Szkołę podstawową oraz średnią ukończył w Śremie, gdzie mieszkał. Studiował na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu, którą ukończył z wyróżnieniem w 1966 roku. W 1975 roku obronił rozprawę doktorską, w 1987 roku uzyskał stopień dr hab. nauk med., a w 2004 – tytuł profesora zwyczajnego. Profesor należy do wybitnych urologów polskich. W życiu zawodowym łączył dwie funkcje – Kierownika Katedry i Kliniki Urologii oraz Ordynatora Oddziału Urologicznego. W środowisku polskich urologów znany jest nie tylko ze swojej nieprzeciętnej aktywności zawodowej, ale i społecznej. Jest członkiem wielu komitetów redakcyjnych czasopism naukowych, autorem lub współautorem ponad 400 prac naukowych i referatów głoszonych na kongresach naukowych w Polsce i za granicą oraz opracowań podręcznikowych dla studentów medycyny oraz lekarzy specjalistów. Jest również promotorem i recenzentem licznych prac magisterskich,



doktorskich, habilitacyjnych, projektów Komitetu Badań Naukowych i wniosków o nadanie tytułu profesora. Minister Zdrowia i Opieki Społecznej w maju 1991 roku przyznał Profesorowi Indywidualną Nagrodę Naukową II stopnia za szczególne osiągnięcia w roku akademickim 1989/90 oraz za pracę habilitacyjną.

Aktywność prof. Zbigniewa Kwiasa nie ogranicza się wyłącznie do świata medycyny. Będąc sympatykiem Klubu Sportowego Lech Poznań przez wiele lat sprawował funkcję prezesa Rady Patronackiej Wielkopolskiego Związku Piłki Nożnej. Profesor znany jest z zamiłowania do muzyki i historii, a szczególnie z fascynacji postacią Napoleona i czasów napoleońskich. Muzyczne zainteresowania Profesora owocowały wieloletnią współpracą z Poznańską Szkołą Chóralną; był również członkiem Towarzystwa Muzycznego im. H. Wieniawskiego. W swojej karierze prof. Zbigniew Kwias osiągał wiele spektakularnych sukcesów potwierdzonych licznymi nagrodami i wyróżnieniami. Otrzymał najwyższe odznaczenia państwowe: Krzyż Kawalerski i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski oraz medyczne – odznakę BENE MERITUS i medal GLORIA MEDICINAE. Szczególna aktywność w Polskim Towarzystwie Urologicznym, w którym m.in. pełnił funkcję prezesa Oddziału Wielkopolskiego (1988-2000) i wiceprezesa Zarządu Głównego (1996-2008), przyniosła mu zaszczytne miano Członka Honorowego tego gremium. Prof. Zbigniew Kwias zasłynął z medycznej pasji, skutecznego leczenia ludzi i pomagania im w różnych sytuacjach życiowych. Wybitne osiągnięcia naukowe oraz bogata osobowość śremianina, jego liczne kontakty zawodowe, udział w konferencjach i wykładach, zarówno w kraju, jak i za granicą, i fakt, że zawsze z dumą podkreśla swoje pochodzenie, predestynuje do miana ambasadora Śremu. Powszechnie uznany za wybitnego lekarza, znakomitego diagnostę i chirurga, swoim dorobkiem naukowym i obywatelskim działaniem łączy do grona wybitnych śremian.

Obchody 76. Rocznicy Wybuchu Drugiej Wojny Światowej

1 września br. na Placu 20 Października w Śremie odbyły się uroczyste obchody 76. rocznicy



wybuchu drugiej wojny światowej.

W uroczystościach wzięli udział przedstawiciele śremskiego samorządu z Burmistrzem Adamem Lewandowskim na czele, służby mundurowe, uczniowie i inni zaproszeni goście. Obchody zakończyły się złożeniem kwiatów na płycie pomnika rozstrzelanych Synów Ziemi Śremskiej przy akompaniamencie Orkiestry Dętej im. Mariana Zielińskiego w Śremie.

Klasy sportowe w szkołach gminnych

W dniu 27 sierpnia br. w Urzędzie Miejskim burmistrz Śremu Adam Lewandowski, przedstawiciele klubów sportowych oraz dyrektorzy szkół podpisali umowy trójstronne, dzięki którym uczniowie będą mogli rozwijać swoje zdolności sportowe w szkołach. Już od 1 września br. w czterech szkołach powstaną klasy sportowe: w SP 1:

- dwa oddziały przy współpracy ze Śremskim Klubem Sportowym WARTA: 1 o profilu piłka nożna – piłka siatkowa, 1 o profilu piłka nożna – taniec.
- w SP 6: dwa oddziały: 1 o profilu pływakim – przy współpracy Klubem Sportowym "WODNIK" Śrem oraz 1 o profilu piłka siatkowa – piłka koszykowa przy współpracy z Międzyszkolnym Klubem Sportowym MOS Śrem.
- w Gimnazjum nr 1: jeden oddział o profilu piłka nożna – piłka siatkowa przy współpracy ze Śremskim Klubem Sportowym "Warta" i Klubem Sportowym BAZAR ŚREM.
- w ZSPiG w Śremie: oddział sportowy o profilu piłka nożna – taniec, piłka siatkowa przy współpracy z Uczniowskim Klubem Sportowym "Śrem".

Spotkanie dyrektorów przedszkoli i szkół

W dniu 25 sierpnia w ratuszu odbyło się spotkanie dyrektorów przedszkoli i szkół, których organem prowadzącym jest gmina Śrem. Burmistrz Śremu wręczył powołania na dyrektorów paniom, które po przeprowadzonych wiosną konkursach ponownie będą kierować placówkami: Ewie Nowak – ZSPiG w Zbrudzewie oraz Jolancie Ratajczak – Przedszkolem Nr 3 „Jarzębinka” w Śremie. Pozostała część spotkania dotyczyła omówienia planów i założeń na zbliżający się rok szkolny 2015/2016.

Narkotyki? To mnie nie kręci! – kampania

Gmina Śrem przystąpiła do kampanii „Narkotyki? To mnie nie kręci!” wymierzonej w dopalacze. Kampania to działania edukacyjne odnoszące się do trzech istotnych grup odbiorców – młodzieży, rodziców i nauczycieli. „Narkotyki? To mnie nie kręci! – dopalacze wróciły!” to:

- nowoczesna profilaktyka dla młodzieży, rodziców, nauczycieli
- wiedza, która może uratować komuś zdrowie, a nawet życie
- materiały z zadaniami dla uczniów, scenariusze lekcji, audycje profilaktyczne, książka, kurs internetowy dla nauczycieli

Gmina Śrem po dożynkach

23 sierpnia br. w Dąbrowie odbyły się Dożynki Gminne, podczas których mieszkańcy gminy Śrem podziękowali za tegoroczne plony. Uroczystości rozpoczęły się barwnym korowodem, który prowadzili Orkiestra Dęta Towarzystwa Muzycznego im. M. Zielińskiego w Śremie oraz poczet sztandarowy Zespołu Szkoły Podstawowej i Gimnazjalnej w Dąbrowie. Za nimi podążyła delegacja z wieńcami dożynkowymi: wieniec sołectwa Dąbrowa, wieniec Stowarzyszenia Sołtysów Gminy Śrem oraz wieniec Gminy Śrem. Bryczką jechali Starościna i Starosta Dożynek. Podczas mszy św. celebrowanej przez ks. Jacka Leśniewskiego – proboszcza parafii w Zaniemyślu oraz ks. Prałata Mariana Bruckiego – Dziekana Dekanatu Śremskiego poświęcono wieńce dożynkowe. Po mszy rozpoczęły się tradycyjne obrzędy dożynkowe. Starostowie



dożynek: Katarzyna Stępa oraz Paweł Stępniewicz wspólnie przekazali na ręce Burmistrza Śremu Adama Lewandowskiego tradycyjnie wypieczony wiejski chleb. Burmistrz podzielił się owocem pracy rolników ze zgromadzonymi. Bochny chleba otrzymali również sołtysi gminy Śrem, którzy zabrali chleby do swoich sołectw, aby podzielić się nimi z mieszkańcami. Część artystyczną rozpoczęli uczniowie szkoły w Dąbrowie. Uczestnicy wysłuchali też koncertów śremskiej Orkiestry Dętej oraz Roxany Tutaj. Wieczorem wystąpiła gwiazda disco polo – zespół Drossel, a dożynki zakończyła zabawa taneczna przy muzyce zespołu „Tester Blues”. Mieszkańcy Dąbrowy aktywnie włączyli się w przygotowanie dożynek. Słowa wdzięczności za trud i zaangażowanie włożone w organizację uroczystości Burmistrz Śremu skierował do Violetty Napieraj – sołtys Dąbrowy oraz Marcina Szydłowskiego – dyrektora ZSPiG w Dąbrowie.

Akcja edukacyjna poświęcona jaskrze – bezpłatne badania diagnostyczne

Mieszkańcy Śremu mogą wziąć udział w akcji edukacyjnej poświęconej jaskrze i skorzystać z bezpłatnych badań diagnostycznych. Towarzystwo Pomocy Potrzebującym im.

Świętego Brata Alberta „Nadzieja” w Śremie organizuje akcję zdrowotną skierowaną do mieszkańców miasta. W ramach akcji odbędą się spotkania edukacyjne na temat jaskry, które poprowadzi specjalista chorób oczu, lek. med. Izabela Rybakowska.

Najbliższe spotkanie odbędzie się **24 września i 22 października br. w Klubie Relax**, przy ul. Chłapowskiego 1. Podczas prelekcji mieszkańcy Śremu będą mogli wylosować karty, które upoważnią ich do bezpłatnych badań okulistycznych w kierunku jaskry. Akcja realizowana jest w ramach ogólnopolskiej kampanii edukacyjnej.

Święto Wojska Polskiego w Śremie

14 sierpnia 2015 r. przy pomniku Żołnierza Polskiego w Parku Miejskim im. Powstańców Wielkopolskich odbyła się uroczysta zbiórka żołnierzy śremskiego garnizonu z okazji Święta Wojska Polskiego.

Wśród licznych zaproszonych delegacji udział wzięli przedstawiciele Urzędu Miejskiego w Śremie Bartosz Żeleźny – Zastępca Burmistrza Śremu oraz Barbara Jabłońska Naczelnik Pionu Edukacji i Usług Społecznych.

Wcześniej żołnierze 6. Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych oraz 6. Batalionu Chemicznego Sił Powietrznych wzięli udział we mszy świętej odprawionej w Kościele Garnizonowym pw. św. Jana z Dukli przez ks. kapelana kmdr ppor. Pawła Wójcika. Z okazji Święta Wojska Polskiego dowódcy śremskich batalionów nagrodzili odznaczeniami oraz awansami wyróżniających się oficerów i podoficerów. Nagrodzony został także dowódca 6. Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych Ppłk Zbigniew Roszak, który obchodził 30-lecie służby. W imieniu władz samorządowych życzenia i podziękowania za wzorową służbę złożył śremskim żołnierzom Zenon Jahns – Starosta Śremski. Podczas zbiórki odczytano Apel Pamięci i oddano salwę honorową. Delegacje władz samorządowych, organizacji pozarządowych oraz służ mundurowych złożyły kwiaty pod pomnikiem Żołnierza Polskiego. Na zakończenie uroczystości przy akompaniamencie Orkiestry Towarzystwa Muzycznego im. Mariana Zielińskiego w Śremie w uroczystej defiladzie przemaszerowały pododdziały korpusów oficerów i podoficerów śremskiego garnizonu.

Remont osiedla przy ul. Ogrodowej zakończony

Zakończyła się rewitalizacja osiedla położonego przy ulicy Ogrodowej w Śremie. W zeszłym roku ruszyły prace, mające na celu poprawienie bezpieczeństwa i wizerunku tej części miasta.

Prace budowlane objęły szeroki zakres:

- utworzenie nowych miejsc parkingowych, tak aby dla każdego mieszkania było przypisane jedno miejsce parkingowe,
- utworzenie stanowiska dla rowerów,
- utworzenie 2 placów zabaw,
- utworzenie nowych dróg oraz przebudowę już istniejących,
- kompleksowe zmodernizowanie oświetlenia całego osiedla,
- zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańcom poprzez zainstalowanie monitoringu,
- utworzenie miejsc wypoczynku tj. skwery, ławki itp.
- kompleksowa rewitalizacja terenów zielonych,

Święto Bractwa Kurkowego w Bergen

W dniach 2-5 lipca 2015 r. przedstawiciele gminy Śrem uczestniczyli w obchodach Święta Bractwa Kurkowego w partnerskim mieście Bergen w Niemczech. Obchody te mają wieloletnią tradycję i są najważniejszym świętem w mieście. W trakcie kilkudniowego święta wybierani są: Król Korpusu, Król Miasta, Ministrowie oraz Król Dzieci i Młodzieży. Uroczystościom towarzyszą liczne imprezy kulturalne, występy muzyczne oraz przemarsze przez Bergen w tradycyjnych strojach. Uroczystości Święta Bractwa Kurkowego stały się już tradycją dla obu miast, dlatego rokrocznie delegacja ze Śremu bierze w nich udział. Każdego roku zaproszone delegacje mają możliwość zwiedzania dodatkowych atrakcji. Tym razem zapewniono gościom pobyt w parku rozrywki w Soltau. Heide-Park to największy park rozrywki w północnych Niemczech, w kraju związkowym Dolna Saksonia, w powiecie Heidekreis. Zajmuje ponad 850 000 m². Został otwarty 19 sierpnia 1978 r. W parku znajduje się 41 atrakcji dla ludzi w każdym wieku: od teatrzyków, spokojnych kolejek, po ogromne rollercoastery.

Marsz żywych 2015

Wiosną każdego roku, młodzież kilku śremskich szkół wybiera się by uczestniczyć w Marszu Żywych. Tak było i tym razem. Po przejściu skomplikowanej procedury zgłoszenia, akceptacji wniosku i oczekiwania na zgodę ze strony MEN-u, pojechaliliśmy. Grupa około 50 uczniów ZSP, ZSE, LO oraz kilku absolwentów, uczestniczyła w Marszu upamiętniającym ofiary Holocaustu. W 10-tysięcznym tłumie można było zobaczyć jak zmienia się geografia przyjeżdżających. Coraz więcej jest młodzieży żydowskiej z Ameryki Południowej, Środkowej i chyba nieco mniej niż zwykle z Europy Zachodniej czy Turcji.

Przebieg Marszu i jego idea była wielokrotnie opisywana przeze mnie na łamach Gazety, więc zainteresowanych odsyłam do archiwalnych numerów. Każdego roku organizatorzy

akcentują inne wątki bądź wydarzenia rocznicowe. Właśnie do nich chcę się odwołać w tym tekście.

Po pierwsze w tym roku minęła 70. rocznica oswobodzenia Auschwitz i innych obozów koncentracyjnych. Było ich naprawdę dużo. Wg najnowszych wyliczeń historyków opublikowanych w „New York Timesie”, w okupowanej Europie istniało 42 500 miejsc uwięzienia ludzi przez niemieckich hitlerowców. W tym 30 tysięcy obozów pracy niewolniczej, 1150 gett dla Żydów (423 na ziemiach polskich), 980 obozów koncentracyjnych, 1000 obozów jenieckich, 500 domów publicznych, w których zatrudniano niewolnice zmuszane do seksu. W tysiącach innych miejsc uśmiercano osoby stare i niepełnosprawne, wykonywano wymuszone





przerywania ciąży, poddawano, zwłaszcza młodych, praktykom germanizacji.

Po drugie minęła też 70. rocznica Marszów Śmierci, które szerzej już opisywałem. Po trzecie wreszcie, w marcu tego roku minęła 70. rocznica śmierci Anny Frank. To jedna z najbardziej rozpoznawalnych postaci ofiar Zagłady. Czasami mówi się o nich ikony Holocaustu. Autorka przejmującego pamiętnika pisanego w ukryciu w Amsterdamie przez 14-15-letnią wtedy dziewczynę, która nie doczekała wyzwolenia. Zmarła na tyfus w Bergen-Belsen. Anna Frank i jej tekst jest stosunkowo dobrze znany. Śremska społeczność (w tym szkoły) mają kontakt z muzeum – Domem Anny Frank. Warto więc pójść tym tropem i przyjrzeć się pisarstwu innych dzieci, młodych ludzi, piszących w gettach. Większość o których wspomnę, podobnie jak Anna Frank, nie przeżyły wojny, ale zostawiły niezwykle ciekawe pamiętniki. Wszystkie dostępne są na naszym rynku czytelniczym.

Dawid Rubinowicz i inni

Zacznę od dwóch chłopców żydowskich, dwóch Dawidów: Sierakowiaku i Rubinowiczu. Pamiętnik Sierakowiaka dotyczy łódzkiego getta, chłopak musiał być dobrze wykształcony, pisał znakomitą polszczyzną, inteligentny i bystry obserwator. Świadomy tego co działo się w getcie i również świadomy faktu, że jest coraz słabszy, opuszczają go siły. Imał się wielu zajęć, był głównym żywicielem rodziny. Nie mógł się pogodzić np. z faktem bezradności swojego ojca, który okradał najbliższych zjadając ich skromne

przydziały, czy zabierając pieniądze. Autor najsłynniejszego pamiętnika z łódzkiego getta zmarł na gruźlicę płuc w 1943 r.

Zupełnie inne są wspomnienia Dawida Rubinowicza. Małeńka książeczka, trochę nieporadna językowo, pisana przez chłopca, który nie do końca rozumie (może nie chce) otaczającej go rzeczywistości podkieleckich wsi i gett w Krajnie, Bodzentynie i Suchedniowie. Pochodził ze skromnej rodziny, nie odebrał gruntownego wykształcenia, pisał spontanicznie. Wojna i jej okrucieństwa są gdzieś w tle, ale czytając pamiętnik Rubinowicza doskonale wiemy o co chodzi i o czym pisze. Trudno się od niej oderwać.

Zainteresowanym czytelnikom polecam też kilka innych fantastycznych pamiętników, choć mało znanych. Choćby Rutki Lakier, której tekst z getta w Będzinie opublikowano dopiero w 2006 r. Wojna i sytuacja w getcie są w tle, a ta młoda dziewczyna pisze o sobie. O flirtach z kolegami, cielesnych symptomach dojrzewania, pierwszych pocałunkach, miłości fizycznej, konfliktach z rodzicami. Zginie w Auschwitz. Wojnę przeżył tylko ojciec, były bankier, którego Niemcy przewiozła do Sachsenhausen i zmuszą do podrabiania dolarów amerykańskich i brytyjskich funtów.

Dziennik Reni Knoll mieszkającej w Krakowie a później w getcie krakowskim, to również zapiski dorastającej młodej dziewczyny. Gdzieś z tyłu jest oczywiście okupacyjny Kraków, strach i śmierć, ale i wszystko inne: problemy rodzinne, dojrzewanie, flirty, wiersze, cytaty z lektur, jakieś dialogi sceniczne. Kilka rysunków, wklejone kwiaty. Dużo pisze o sobie, swoim wyglądzie, urodzie z której jest zadowolona. Ale potrafi też tak napisać po wizycie dawnej znajomej, która odwiedziła ją w getcie i wykrzyknęła: „Rena jakie ty masz grube nogi! Zwłaszcza na górze! O rety! Bo na dole jeszcze masz zgrabne lecz na górze! A tymczasem ja mam tak na górze jak na dole – nogi zgrabne, wykrojone ładnie tylko grube, lecz tym się wcale a wcale nie martwię bo wiem że do mojego wzrostu nie mogę mieć nóg szczuplejszych”. Przeżyła wojnę. Ktoś znalazł jej pamiętnik. Zdażyła złożyć relację w grudniu 1945 r. przed



pracownicą Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie. Miała plany wyjazdu do Palestyny, uwielbiała tańczyć i z tym wiązała swoją przyszłość. Nic więcej o niej nie wiemy. Znika zupełnie. Nie ma śladu po jej dalszych losach ani w Izraelu, USA czy gdziekolwiek. Został po niej dziennik. Pierwszorzędna lektura. Podobnie jak „W imię Boże” Cecylii Gruft. Inny dziennik, choćby z tego względu, że pisany nie w getcie, ale w ukryciu u Polaków na przedmieściach Przemysła. Cesia ma reporterski talent, pisze z humorem, ze swadą. Również wtedy gdy opisuje konflikty z gospodarzami i wewnątrz własnej rodziny. Zanim pomyśli to napisze, stąd w jej tekście mnóstwo zmiennych ocen, impulsywnych, niesprawiedliwych. Ale jak to się czyta... Jest spolonizowaną Żydówką i co rzadkie w tego typu wspomnieniach ma jasny pogląd na sytuację. Wrogiem są Niemcy a Polaków, Ukraińców i Żydów dotyczą wspólne represje i okupacyjny terror. Co równie ciekawe podaje mnóstwo prawdziwych informacji o osobach gospodarzy, ich gościach. Gdyby jej tekst trafił podczas wojny w niepowołane ręce, gestapo miałooby dużo radości.

Theresienstadt

Jedną z ostatnich nowości na polskim rynku jest pamiątnik czeskiej Żydówki zatytułowany „Pamiątnik Helgi” dotyczący getta w Terezynie.

Sławne i specyficzne getto, bowiem miało być pokazowym, czyli łatwiejszym do przeżycia. Ale tak nie było.

Założone jesienią 1941 r. w Terezynie, niedaleko Pragi. Miasto – twierdza założona przez Austriaków w XVIII wieku. Składało się z dwóch odrębnych, aczkolwiek połączonych części. Możemy sobie wyobrazić nasz śremski garnizon, trzykrotnie powiększony, z koszarami (tam do dziś nie ma innych budynków) otoczony murami, fosą. Zamknięte miasto. I to tam właśnie powstało getto dla Żydów. Nieco z boku tego miasta – garnizonu istniała tzw. Mała Warownia, będąca obozem tranzytowym dla więźniów różnych narodowości.

W Małej Warowni, w jednej z cel, spędził ostatnie lata swego życia Gawriło Princip, zabójca Franciszka Ferdynanda w 1914 r. W maju 2015 r. w otwartej celi Principa, można było zauważyć świeże kwiaty i wieńce od Ambasady Serbii w Czechach. Dla Serbów Princip jest wciąż bohaterem.

Właśnie w maju br. spędziłem kilka dni w Terezynie. Po tej wizycie i spotkaniu z ocaloną, Dagmarą Lieblovą, czeską Żydówką, pochodzącą z Kutnej Hory, muszę zweryfikować część swojej wiedzy na temat „pokazowego” getta.



Niemcy wyrzucili 3700 czeskich mieszkańców i zwieźli w to miejsce 96 tysięcy Żydów, głównie z Europy Zachodniej. Łącznie przez getto przewinęło się 140 tysięcy ludzi. W pamięci Dagmary Lieblovej, dwunastoletniej wówczas dziewczynki, został ciągły głód, wszy, tyfus i strach przed selekcjami i wywózkami. Na skutek głodu zmarło około 35 tysięcy osób. 88 tysięcy wywieziono do obozów zagłady, głównie Auschwitz. W sierpniu 1943 r. przywieziono 1260 dzieci z białostockiego getta, które Niemcy chcieli wymienić z aliantami na jeńców wojennych. Nic z tego nie wyszło. Dzieci zginęły w komorach Birkenau.

W pewnym sensie getto było jednak szczególne. Zwłaszcza z początku planowano przywiezienie do niego żydowskiej elity: pisarzy, naukowców, malarzy, polityków. Po umieszczeniu w nim 500 duńskich Żydów, Czerwony Krzyż z Danii, domagał się inspekcji, która w końcu się zjawiła. Wcześniej w osobnych budynkach koszarowych umieszczono dzieci. Osobno chłopców i dziewczynki wraz z opiekunami, nauczycielami. Za zgodą Niemców funkcjonowały tam załóżki życia kulturalnego, szkolnictwo, samopomoc. Szybko pojawiły się też nielegalne przejawy życia. Czternastoletni Peter Ginz założył i wydawał z grupą kolegów pismo „Vedem”. Ręcznie przepisywane, w kilku egzemplarzach, opisywało życie w gettcie. Egzemplarze tego pisma są eksponowane w miejscowym Muzeum. Koledzy Petera, gdy został on wyznaczony do deportacji, stworzyli w nocy specjalny numer pisma. Zabrał go w podróż do Aushwitz. Nie

przeżył. W Terezynie, z kolei, zmarła Trude Neumann, córka Teodora Herzla, założyciela ruchu syjonistycznego.

Niezwykle ciekawym przejawem życia w terezińskim getcie jest kolekcja rysunków Helgi Hoskovej, której „Dzienniki Helgi”, już przywołałem. Rysowała i malowała od wczesnego dzieciństwa. W gettcie, 12-letniej córce ojciec poradził „Maluj co widzisz”. I tak powstała bezcenna kolekcja ponad 100 rysunków tworzących kronikę gettowego życia. W Terezynie nie wolno było robić zdjęć, malować scenek rodzajowych. Niemcy nie zauważyli jednak, czym zajmuje się drobna nastolatka. Pisała też pamiętnik, który jej wuj ukrył po jej deportacji do Auschwitz. Helga Weissowa, tak się dzisiaj nazywa, żyje w Czechach, jest znaną malarką i ilustratorką książek. Rok temu można było obejrzeć wystawę około 50 jej prac w budynku ŻIH-u w Warszawie. Getto miało własną walutę (tylko łódzkie getto miało podobny przywilej), zespół jazzowy Getto Swingers, kierowane przez Coco Schumana, nielegalną synagogę.

Wracając do delegacji Czerwonego Krzyża. Przyjechała, obejrzała wyznaczone przez Niemców miejsca, spotkała się z wyznaczonymi Żydami i wystawiła pozytywną opinię na temat gettowego życia. Komisja spędziła w Terezynie pięć godzin, dwie zajął obiad. Po latach, szwajcarski przewodniczący delegacji w flimie Clauda Lanzmanna, „Shoah”, utrzymywał, że to co zobaczył było prawdziwym obrazem getta. Przyparty do muru oświadczył, że winę za mistyfikację ponoszą też Żydzi, gdyż nikt z nich gestem, miną czy słowem nie dał do zrozumienia, że coś jest nie tak. A Niemcy? Nakręcili podczas wizyty Czerwonego Krzyża propagandowy film, prezentowany w kinach okupowanej Europy. Film odkryto w latach 60.; zrobiono z niego 20-minutowy dokument. Jest dostępny na YouTube.

Krzysztof GRZESIAK

Nikt nie umiera, dopóki go pamiętamy

Wojciech Kęszycki herbu Nałęcz ur. 30 IV 1922 r. - zm. 20 VII 2015 r.

Moja znajomość z Wojciechem Kęszyckim zaczęła się od korespondencji w 1985 r. w związku z gromadzeniem materiałów biograficznych o Jego ojcu, konsulu Danielu Kęszyckim do *Słownika Powstańców Wielkopolskich 1918/19*.

Przez trzydzieści lat zamieściłem w teczce „Od Pana Wojciecha” ponad 80 listów oraz okazałą kolekcję kartek z życzeniami na święta, imieniny i urodziny. Są w niej też zaproszenia. Z jednym z nich w ręku pojawiłem się na zebraniu Oddziału Wielkopolskiego działającego wtedy pod Jego prezesurą i mogłem się przekonać, jakim autorytetem i szacunkiem się cieszy, jak sprawnie i rzeczowo kieruje tym gremium. Ostatnie zaproszenie wystosowane wspólnie z żoną Marią zapowiadało uroczystość z okazji 90. urodzin w już odzyskanej rodowej siedzibie Kęszyckich w pałacu w Błociszewie 2 czerwca 2012 r.

Nie pamiętam, abym na mój list nie otrzymał odpowiedzi napisanej charakterystycznym pismem, zredagowanej w oryginalnym stylu, świadczącym o starej dobrej polszczyźnie. Nierzadko też poważnie brzmiące fragmenty listu okraszał humorem i autoironią. W moich listach adresowanych na ulicę Podgórną w Poznaniu przeważały zazwyczaj pytania i prośby dotyczące przeszłości Błociszewa, rodziny Kęszyckich, wydarzeń i ludzi z historii miasta Śremu i okolic. Nie raz wymienialiśmy opinie o ciekawych wydawnictwach regionalnych zahaczających swoją treścią o Ziemię Śremską, czym Pan Wojciech bardzo się interesował. Czytał uważnie „Gazetę Śremską”, którą regularnie ode mnie otrzymywał.

Dzięki doskonałej pamięci Wojciecha Kęszyckiego – jednego z ostatnich świadków okresu międzywojennego, Jego wiedzy i erudycji, materiałom archiwalnym, którymi dysponował, ale także życzliwości i chęci pomocy, wiele razy ustrzegłem się w tekście, nad którym pracowałem, nie zamierzonego błędu w faktografii, nie pomyliłem osoby lub daty. Przytoczę tu jeden przykład. Dawno, dawno temu gromadziłem dokumentację do dziejów okupacji hitlerowskiej w powiecie śremskim w tym zdjęcia wszystkich ofiar egzekucji z 20 października 1939 r. w Śremie, Kórniku, Książu i Mosinie. Mimo rozmaitych i niełatwych starań nie zdołałem jednak odnaleźć dwóch zdjęć, w tym Zygmunta Grąbczewskiego, dzierżawcy Gaju wsi należącej do dóbr błociszewskich. Kiedyś wspomniałem o tym panu Wojciechowi i już po tygodniu otrzymałem przesyłkę z pamiątkową, zbiorową fotografią z jakiegoś wesela w Błociszewie, z dokładnym zaznaczeniem w którym miejscu wśród weselników siedzi u boku swojej żony Grąbczewski! Również dzięki Jego informacjom i wskazówkom zostały znacznie wzbogacone niektóre życiorysy w *Słowniku biograficznym Śremu*, m.in. Władysława Szczepkowskiego, nie mówiąc o całej garści dodatkowych i ważnych uzupełnień do życiorysu ojca Daniela Kęszyckiego.

Dzięki staraniom Wojciecha Kęszyckiego w 2005 r. ukazał się drukiem dalszy ciąg wspomnień Jego ojca pt. *Z dni Powstania Wielkopolskiego*. W pochlebnej recenzji, którą napisałem m.in. do „Gazety Śremskiej” podkreślałem wagę tej wydawniczej inicjatywy dla rozszerzenia wiedzy o działalności Naczelnej Rady Ludowej. W początku lat dwudziestych XX w. budowała ona i organizowała zręby polskiej



Wojciech Kęszycki w towarzystwie syna Wojciecha, na promocji książki o śremskich księgarzach i drukarzach w „Cafe Marlene” dnia 28 lutego 2010 r. Fot. Jerzy Kondras

administracji, gospodarki i życia politycznego w byłej już pruskiej Prowincji Poznańskiej, w której Daniel Kęszycki brał aktywny udział. Wypowiadał się w swoich wspomnieniach krytycznie o niektórych działaniach NRL i nie stronił od podobnych ocen wobec niektórych jego członków. Wspomnienia poprzedzone zostały wstępnym rozdziałem przygotowanym przez Wojciecha Kęszyckiego poświęconym Ojcu i życiu rodzinnemu pod dachem pałacu w Błociszewie. Odzewem na moją recenzję był list p. Wojciecha z pretensjami do samego siebie za usterki wydawnicze w książce, niewielkie (moim zdaniem) przeinaczenia itp., czyli w zasadzie drobiazgi. Na подарowanym mi egzemplarzu wspomnień Ojca wpisałem w podziękowaniu miłą dedykację.

Nie miałem zamiaru zamieszczać w tym miejscu życiorysu Wojciecha Kęszyckiego. Będzie na to czas i miejsce w przygotowywanym *Suplemencie do Słownika biograficznego Śremu*. Ze śmiercią Wojciecha Kęszyckiego zamknąłem teczkę z Jego listami, które na zawsze pozostaną śladem Jego obecności w moim życiu i w trwałej pamięci.

Adam PODSIADŁY

Początki mojej znajomości z Wojciechem Kęszyckim datują się dopiero od 2008 r. i wiążą

się z pracą nad książką o księgarzach i drukarzach w Śremie, działających w latach 1869-2009. Częstym bywalcem księgarni Kazimierza Gąsiorowskiego przy dzisiejszej ul. Poznańskiej i animatorem życia teatralnego w Śremie był właściciel niedalekiego Błociszewa i Gaju – hr. Jan Nepomucen Kęszycki (1820-1910). To Adam Podsiadły zasugerował mi, abym także o informacje i ewentualne fotografie zwróciła się do mieszkającego w Poznaniu Wojciecha Kęszyckiego, prawnuka Jana Nepomucena.

Mój list do Wojciecha Kęszyckiego nie pozostał bez odpowiedzi. Otrzymałam napisany na maszynie tekst o zachowanej w rodzinie Kęszyckich pamięci o niezwykle oryginalnym jakim był Jan Nepomucen. Także o jego gospodarnej żonie Florentynie z Chłapowskich. (list z 20 I 2009 r.). Poprosiłam o udostępnienie fotografii. „Jestem w poszukiwaniu fotografii J.N. Są dwie – pisał pan Wojciech – na koniu i z rogami jelenia. Gdzieś są i muszę je odszukać” (list z 2 II 2009 r.). Fotografie otrzymałam za dwa tygodnie i ta „z rogami” reprodukowana jest w mojej książce. Jej promocja odbyła się 28 lutego 2010 r. w „Cafe Marlene” (dziś siedziba „Księgarni Przy Rynku”), na którą – ku radości mojej i Wydawcy przyjechał Wojciech Kęszycki z synem Wojciechem juniorem.

Jak wspomina Adam Podsiadły Wojciech Kęszycki przesował przez kilka lat wielkopól-

skiemu oddziałowi Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego. Zaproponowałam panu Prezesowi, że chętnie spotkam się z jego członkami i opowiem o antypolskiej pruskiej ustawie wyłączeniowej z 1908 r. i roli jaką odegrał Henryk Sienkiewicz by opóźnić jej realizację. Problem ten zupełnie został przemilczany w poznańskich mediach w 100-lecie wydania ustawy. Otrzymałam odpowiedź: „Temat jest dla nas fascynujący w kontekście powojennej nacjonalizacji i reformy rolnej i starania się o restytucję zagrabionego mienia” I dodał pan Wojciech z dowcipem: „B[ardzo] mi przykro, że narażam Panią na późny powrót do domu, ale dla takiej automobilistki to „mały pikus”, a droga do Kórnik [mieszkałam wówczas w Kórniku] jest teraz znakomita”(list z 18 II 2009 r.). Wykład odbył się 9 marca 2009 r. w gościnnej dla Towarzystwa salce parafialnej przy kościele p.w. Św. Anny przy ul. J. Matejki 42. W podziękowaniu otrzymałam kilka numerów „Wiadomości Ziemiańskich”, z których wykorzystałam ilustracje w pracy o księgarzach i w kolejnych publikacjach. Nadeszła także wkrótce pocztą książka Olgierda Budrewicza „Z Polską w sercu” z dedykacją „na pamiątkę wygłoszonego odczytu”, podpisaną przez Prezesa i czterech członków zarządu Towarzystwa. Dziś, jakże bezcenna dla mnie pamiątka.

W grudniu 2011 r., w świątecznej kartce pan Wojciech dopisał: „Od 26.9. przynajmniej 3 x [razy] w tygodniu przejeżdżam przez Kórnik, Śrem i kierunek do odzyskanego Błociszewa”. W kwietniu 2012 r. pisał: „Tam, któregoś dnia spotkamy się z Panią i być może i z p. Adamem”. Na zaproszenie pani Marii Kęszyckiej wzięliśmy udział 2 czerwca w „spotkaniu koktajlowym w Pałacu Błociszewskim” z okazji 90. urodzin pana Wojciecha. Byliśmy reprezentantami miasta, o którym pisał: „Śrem był, jest i będzie zawsze miastem mojej młodości i dobrych wspomnień”(list z 20 I 2009 r.).

Swego czasu opowiadał mi Wojciech Kęszycki o nieznanym fakcie związanym z dziejami Śremu w pierwszych miesiącach drugiej wojny światowej. Jak wiadomo żelazny most z początku XX w. wysadzony został we wrześniu 1939 r. przez polskich saperów. Po kapitulacji Polski i zajęciu miasta przez wojska niemieckie został, nieopodal tego zniszczonego, odbudowany. Ten drewniany most świetnie jest

utrwalony w niemieckim filmie dokumentalnym, doskonale znany śremianom. Drewno na most pochodziło z lasów błociszewskich, za które – jak wspominał pan Wojciech – oficer niemiecki w randze kapitana (niestety nie zapisałam nazwiska) przywiózł do Błociszewa zapłatę. Kończąc opowieść podkreślił: „Jeszcze wtedy byli okupanci porządni!”.

Pomógł mi także Wojciech Kęszycki w przygotowaniach do wykładu o dr. Sewerynie Matuszewskim, jaki wygłosiłam dla młodzieży w Muzeum Śremskim w grudniu 2012 r. Dr Matuszewski był przyjacielem Daniela Kęszyckiego, częstym gościem pałacu w Błociszewie i lekarzem jego ośmiorga dzieci. Informacje i cenne fotografie od pana Wojciecha wykorzystałam na wykładzie.

W marcu 2013 r. w świątecznej kartce pan Wojciech dopisał „Ostatnio byłem trochę niedysponowany [...]. Zapraszamy i mamy nadzieję, że uda się Pani wpaść na ploteczki bądź tu w Poznaniu, bądź w Błociszewie, tylko niech ta zima paskudna wreszcie się skończy”. Zima się skończyła i pewnego letniego popołudnia tegoż roku ugoszczona zostałam na ganku błociszewskiego pałacu przez Marię i Wojciecha Kęszyckich. Wtedy także udało mi się uzyskać wiele cennych informacji o prof. Stefanie Tytusie Dąbrowskim, rektorze Uniwersytetu Poznańskiego w l. 1945-1946, nad którego biografią od dawna pracuję. Państwo Kęszyccy przyjaźnili się z synem rektora – Janem Henrykiem, który przez kilka lat pracował z panem Wojciechem w Banku Polskim.

W następnych latach nadal otrzymywałam od pana Wojciecha dowcipne życzenia świąteczne. Równie sympatyczne były rozmowy telefoniczne. Dziś żałuję, że nie znalazłam czasu (ciągła wymówka!) na wizytę w mieszkaniu Kęszyckich przy Podgórznej. Z głębokim żalem przyjęłam wiadomość o Jego śmierci. Byłam 25 lipca 2015 r. w tłumie osób żegnających Wojciecha Kęszyckiego na cmentarzu przy Kościele Parafialnym w Błociszewie. Pozostanie na zawsze w mojej wdzięcznej pamięci ten przystojny Starszy Pan, z bystrzymi oczami skrytymi za przeciemnionymi okularami i ujmującym zawsze uśmiechem.

Odeszli, jakby wiatr ich rozwiął

Żydzi w Wielkopolsce cz. IV

Przeglądając się historii Żydów w Polsce ciągle zdumiewa wieloaspektowość tej opowieści. Z jednej strony bogactwa kulturowego dziedzictwa Żydów ukształtowanego w dużej mierze na terenach Polski a z drugiej strony ambiwalentnego stosunku Polaków do swoich żydowskich sąsiadów. Wydaje się rację mają, ci którzy twierdzą, że współistnienie różnych narodowości wymaga wysiłku poznania i zrozumienia z obu stron. Polsko-żydowski „problem” niezrozumienia wynika w dużej mierze z faktu, że tego wysiłku tak niewielu podjęło. Zawsze w takim wypadku lukę wypełniają stereotypy i proste czasem jednozdaniowe poglądy. Celem większości wycieczek do Polski z Izraela oraz dla wielu Żydów z całego świata jest „ziemia prochów przodków” i pielgrzymka do strasznych miejsc niemieckich obozów. W tym tle nie było przez lata miejsca na inną narrację – o ukształtowaniu na terenie Rzeczypospolitej wspaniałej żydowskiej kultury, o miejscu w Europie, w którym mimo problemów, było to jednak możliwe. Inna sprawa, że przez lata tak niewielu w Polsce miało ochotę by o tym opowiadać. A więc w lekcji dla Żydów brakowało całego długotrwałego kontekstu kształtowania żydowskiej tożsamości w Polsce z dominacją jedynie koszmaru II Wojny Światowej. Z kolei w powojennej Polsce lekcji o historii 1000 lat kultury żydowskiej prawie w ogóle nie podjęto zacierając tym samym ślady obecności tu ponad 3 milionów ludzi. Wydaje się także, co nie przynosi chwały, że mamy nadal problem by zobaczyć całokształt tragedii Holocaustu. Ciągle obecna jest chęć relatywizowania i jakiejś koszarnej rywalizacji o palmę pierwszeństwa w cierpieniu w tym nieludzkim czasie. Brak pełnego zrozumienia powoduje, że często zachowujemy się jak uczeń, który usiłuje ukryć się przed odpowiedzią, gdy jest nie

przygotowany do lekcji. Dlatego tak często mamy do czynienia z konwulsyjnymi reakcjami, gdy pokazywane są fakty nie pasujące do konwencjonalnego obrazu. Pełne zrozumienie koszmaru, który spotkał Żydów tylko dlatego, że drzemające od stuleci pokłady nienawiści tak łatwo wyzwolił pewien austriacki kapral, powinien powodować szeroką impresję i nieustanną czujność by ta historia nigdy się nie powtórzyła. Ale to wymaga pewnego wysiłku poznania i zrozumienia, odnalezienia delikatnych strun wrażliwości i empatii. Tym bardziej zdumiewa, że ciągle zdarzają się oznaki zupełnej ignorancji. W czerwcu br. dużą część poznaniaków zbulwersowało organizowanie gry miejskiej dla dzieci na Poznańskim Trakcie Eucharystycznym pomiędzy kościołami na ul. Żydowskiej oraz kościołem Bożego Ciała. W części II naszej opowieści opisaliśmy historię powstania tych miejsc kultu, który powstał na bazie legendy o trzech hostiach i żydowskiej profanacji. W 1399 r. oskarżono Żydów o kradzież i zbezczeszczenie hostii - pokłucie jej nożami. W ramach kary co roku w procesji Bożego Ciała musiał iść z nożem przedstawiciel gminy żydowskiej. Dopiero w 1722 r. franciszkanie zgodzili się, że gmina żydowska może „wykupić się” od tego obowiązku. Ale przez ponad 300 lat mieszkańcy widzieli regularnie: oto Żyd, który podniósł rękę na ciało Chrystusa. Można sobie dobrze utrwalić stereotyp.

Przypomnijmy, że legenda ta wraz z relacjami o porwaniach chrześcijańskich dzieci by ich krew użyć do macy, jest kliszą średniowiecznych opowieści przekazywanych w wielu krajach zachodniej Europy wyzwalających wszędzie antysemityczne ekscesy czytaj: pogromy i morderstwa, także w Poznaniu! Jak mało wrażliwości mają animatorzy dzisiejszej gry dla dzieci, gdy odnawiają tamtą historię bez

tosownego wytłumaczenia. Negatywnych bohaterów legendy nazywa się tu „niewiernymi” i to ma wystarczyć jako argument, że w idei tej zabawy nie ma najmniejszych nawet śladów antysemityzmu! Głosy niepokoju kwitowane są często stwierdzeniem, że: ... *jakieś środowiska żydowskie mają znowu jakieś pretensje a tak naprawdę to o faktach się nie dyskutuje. Profanacja miała miejsce i pojedziemy do Rzymu aby to udowodnić.*

I cóż tu można dodać – to wszystko ma miejsce teraz nie w średniowieczu.

W tym tle jak ważną ma misję Muzeum Żydów Polskich „Polin”, krakowska Fabryka Schindlera i wiele powstających miejsc opowiadających historię Żydów. Ich przekaz może z czasem zmienić mentalność i wyczuli także i tych poznańskich animatorów, by zrozumieli z jak delikatną materią mają do czynienia i nie tylko „środowiska żydowskie” mają pełne prawo ale i obowiązek by być wrażliwym na wydawałoby się błahe impulsy, które tyle razy w historii zamieniały się w „rzucanie kamieniami w niewiernych”.

Wróćmy jednak do kolejnej wyspy w ekspozycji Muzeum „Polin” w Warszawie.

Na żydowskiej ulicy (1918-1939) to galeria poświęcona okresowi międzywojennemu, uważanemu – pomimo wyzwań, przed jakimi stało młode państwo – za drugi złoty wiek w historii polskich Żydów. Inspiracją dla odtworzonego fragmentu ulicy z sztyldami, brukiem i latarniami gazowymi była warszawska ulica Nalewki i Zamenhofa. Dwupoziomowa ekspozycja przybliży również żydowski film i teatr (m.in. znajduje się tutaj mała salka kinowa), życie literackie a także działalność polityczną Żydów w Polsce.

Ten „złoty wiek” w niepodległej Rzeczypospolitej rozpoczął się jednak od wielkiego rozczarowania oraz szykan, przemocy i ofiar, w wyniku których dziesiątki tysięcy żydowskich emigrantów z Polski wyjechało do Palestyny, Europy Zachodniej i krajów obu Ameryk, gdzie pracowali i pielęgnowali kulturę i tradycję Żydów polskich. Antysemityzm tego czasu miał w Polsce podłoże polityczne i gospodarcze. Był charakterystyczny dla programów partii narodowych, szczególnie w momencie odbudowy państwa polskiego, gdy Żydów posadzano o niechęć i przeciwdziałanie staraniom polskim o odzyskanie niepodległości. Paradoksalnie kłopoty społeczno-polityczne i ciągłe próby ustanowienia norm współżycia dwóch narodów spowodowały, że kultura żydowska, w której rozwój nie ingerowało państwo, przeżywała w okresie międzywojennym okres świetności. Wyróżnić się w niej daje zarówno nurt religijny, jak i świecki. Twórcy pisali swe dzieła zarówno w języku jidysz, jak hebrajskim i polskim. Żydzi brali aktywny udział w rozwoju teatru, literatury, sztuki, nauki i sportu, mieli także własną prasę. Podłoże aktywnego udziału ludności żydowskiej w kulturze i nauce tkwi w gruntownym wykształceniu, do którego przywiązywano ogromną rolę. Większość młodzieży żydowskiej (ok. 80%) uczęszczała do bezpłatnych szkół państwowych. Ponadto działały prywatne szkoły religijne (chedery, Talmud-Tory, jesziwy) oraz zakładane przez syjonistów i socjalistów szkoły świeckie. Zwieńczeniem systemu szkolnictwa były instytuty naukowe o europejskim poziomie (Wilno, Warszawa) oraz wyższe uczelnie talmudyczne (Lublin). Wykształcenie było też powodem, że mimo głębokiego zróżnicowania, zamożność ludności żydowskiej była wyższa

w porównaniu do ludności polskiej. W 1931 roku rząd polski ustawą ostatecznie zniósł wszystkie akty dyskryminujące Żydów w Polsce. Było to najważniejsze osiągnięcie w regulowaniu sytuacji społeczności żydowskiej w Polsce w okresie sprawowania rządów w Belwederze przez marszałka Piłsudskiego. Niestety po jego śmierci sytuacja ta uległa drastycznej zmianie. W Polsce do wybuchu wojny zaczynają dominować skrajnie nacjonalistyczne hasła „Endecji” nawołujące do prześladowań i wypędzenia „żydowskiej zarazy”. Wtedy też zrealizowano ograniczenie miejsc na uniwersytetach dla młodzieży żydowskiej a w szkołach zrealizowano haniebną getta ławkowe. Jakby na przekór antysemitowskiemu nastrojowi w pierwszej połowie lat 30. nastąpił najbujniejszy rozwój literatury żydowskiej w Polsce. W 1933 roku zostały ogłoszone manifesty literackie (R. Brandstaetter, M. Szymel, A. Madler) i odbyła się szeroka dyskusja nad charakterem twórczości polsko-żydowskiej, jej miejscem w zmieniającej się kulturze żydowskiej oraz rolą polskości w żydowskim życiu. W prozie dominowały tematy z życia społeczności żydowskiej, w tym także problemy tradycyjnego wschodnio-europejskiego stylu życia Żydów, kwestie syjonizmu i Palestyny oraz poszukiwania syntezy – próby akulturacji i spotkania elementów obu kultur. Najśłynniejszymi żydowskimi pisarzami byli: Uri Cwi Grinberg (1896-1981), Perec Markisz (1885-1952), Israel Jozua Singer (1893-1944) i Isaac Bashevis Singer (1904-1991). W 1933 roku w Warszawie zaczęło ukazywać się żydowskie czasopismo literackie „Opinia” (do 1935 r.). Fenomenem kultury żydowskiej tworzonej na ziemiach polskich była jej trójjęzyczność – hebrajski, jidysz i polski. Obok grona twórców żydowskich

szczególne miejsce zajmuje twórczość pisarzy i poetów wywodzących się z asymilowanych rodzin. Warto przypomnieć ich nazwiska by uświadomić jak wielki wkład artyści ci wnieśli do całokształtu polskiej kultury: Anatol Stern, Adam Ważyk, Bruno Jasieński, poeta Bolesław Leśmian, Bruno Schulz, Jan Brzechwa, Aleksander Wat, Janusz Korczak, środowisko skamandrytów z Antonim Słonimskim i Julianem Tuwimem i inni. Do tego zestawu artystów należy dodać muzyków – Władysława Szpilmana, Henryka Warsę, Jerzego Petersburskiego oraz znakomitych malarzy m. innymi: Artura Nacht-Samborskiego, Eugeniusza Żaka, Jankiela Adlera, Meli Muter czy Jonasza Sterna.¹

Przypomnienie postaci z tamtej epoki może prowokować pytanie o to, jak mogłaby wyglądać kultura polsko-żydowska gdyby nie jej całkowite unicestwienie podczas zagłady.

Kolejna wyspa tematyczna w Muzeum Polin to **Zagłada** (1939-1945) – ta galeria ukazuje grozę Holocaustu w wyniku którego śmierć poniosło ok. 90% z 3,3 miliona polskich Żydów. Galeria ta jest położona dokładnie naprzeciwko Pomnika Bohaterów Getta, upamiętniającego ofiary Holocaustu oraz bohaterów zryw powstańców getta warszawskiego. Dlatego też jedna z głównych części galerii poświęcona jest warszawskiemu gettu – największemu z ok. 600 gett utworzonych przez Niemców na terenie okupowanej Polski. Wydarzenia z historii getta opatrzone umieszczonymi na ścianach cytataми m.in. z *Dziennika* Adama Czerniakowa i *Kroniki getta warszawskiego* Emanuela Ringelbluma. Materiały zakopane w metalowych skrzyniach i bańkach na mleko – przetrwały do dziś. Pozostają wstrząsającym świadectwem życia w getcie. Dużo miejsca poświęcono w niej historii

getta warszawskiego. Wąskie przejście a następnie schody z nazwami wysiedlanych ulic – od Siennej po Stawki – prowadzą w dół, na Umschlagplatz. W galerii przedstawiono także uczestników i decyzje tzw. „ostatecznego rozwiązania” podczas konferencji w Wannsee, definiujące realizację Holocaustu czyli całkowitej eliminacji całego narodu. W tej części Muzeum można zobaczyć funkcjonowanie i ofiary niemieckich obozów zagłady utworzonych na terenie okupowanej Polski, a także różne reakcje Polaków na zagładę Żydów. Od ratowania i pomocy mimo ryzyka kary śmierci po fakty haniebne. W tej części oddajmy głos Barbarze Engelking autorce wielu scen w Muzeum: *Stosunek Polaków do Żydów i ich mienia podczas II wojny światowej i tuż po niej można zawrzeć w kilku słowach: pokusa, chciwość, strach i bezkarność. I jeszcze demoralizacja. Niemcy przeprowadzili na nas eksperyment społeczny: odwrócili znaki moralne – dobro było karane (za pomoc Żydom groziła śmierć), a zło nagradzane (za wydanie należał się na przykład kilogram cukru). Wystawili ludzi na wielką pokusę. Żyd był poza prawem, można było go bezkarnie okraść, zgwałcić, zadenuncjować, zabić. Trzeba pamiętać, że grabież żydowskiego mienia zaczęli Niemcy – od samego początku okupacji. Gdyby nie pokazali, że z Żydami wolno robić wszystko, być może demoralizacja nie miałaby tak powszechnego zasięgu.*²

Galeria ma dwa poziomy i jest przestrzennie największą galerią wystawy stałej. Jej konstrukcja, dobór oraz sposób przedstawienia zgromadzonych eksponatów ma wywoływać u zwiedzających poczucie ciasnoty, osaczenia i represyjności, które powtarzają się w relacjach Żydów ściszonych w gettach. Ze względu na trudną tematykę decyzję o zwiedzaniu tej galerii przez dzieci do lat 12 muzeum pozostawia ich rodzicom i opiekunom.

Witold PRZEWOŹNY

¹Historia Żydów Polskich, Polityka, Pomocnik Historyczny, 3/2013, s.96-100

²Wywiad z Barbarą Engelking w Newsweeku zob:<http://historia.newsweek.pl/prof-barbara-engelking-o-kradziezy-zydowskiego-mienia-newsweek-pl>

Leon May - zasłużony prezes Koła Śpiewackiego „Moniuszko” w Śremie

W poprzednich numerach Gazety przedstawiłam życie i działalność muzyczną niektórych prezesów i dyrygentów Koła Śpiewackiego „Moniuszko” w Śremie. Zasłużonym członkiem, działającym w Kole ponad pięćdziesiąt lat, był Leon May. Urodził się w 1913 roku w Śremie, tutaj też ukończył szkołę powszechną i gimnazjum. Z domu rodzinnego wyniósł zamiłowanie do pieśni. Jego ojciec Michał, od 1903 roku był członkiem Koła

Śpiewackiego Polskiego, pełniąc w nim funkcję bibliotekarza. Był też współzałożycielem chóru kościelnego pw. św. Cecylii przy kościele farnym w Śremie. Po wojnie od 1947-1950 roku pełnił funkcję prezesa Koła Śpiewackiego „Moniuszko”. Leon May, do wybuchu drugiej wojny światowej, był urzędnikiem w Starostwie Powiatowym w Śremie. Przez całą okupację pracował w zakładzie szewskim a zaraz po wyzwoleniu wyjechał na „ziemie odzyskane” do

Koło Śpiewackie „Moniuszko” w 1967 roku, Leon May siedzi czwarty z prawej





Poczet sztandarowy Koła Śpiewackiego LUTNIA (po prawej) chorąży – Wiesława Szermelek

Koźuchowa. Tam pełnił funkcję zastępcy naczelnika w Urzędzie Miejskim. Po powrocie do Śremu pracował w Banku Rolnym, a do 1964 roku jako starszy inspektor w Narodowym Banku Polskim. Jeszcze przed wybuchem wojny był związany podobnie jak ojciec z ruchem muzycznym miasta, wstępując w 1936 roku do Koła Śpiewackiego. Po wojnie, od 1958 do 1978 roku był prezesem Koła, a do 1987 roku wiceprezesem. Brał czynny udział w Wielkopolskim Stowarzyszeniu Ognisk Artystycznych oraz Towarzystwie Muzycznym w Śremie, którego był sekretarzem. Jednak najbliższe sercu było mu zawsze Koło Śpiewackie „Moniuszko”. Jak już wspomniałam, prezesem chóru został w 1958 roku, na dwa lata przed jubileuszem osiemdziesięciolecia istnienia Koła. Rozpoczął intensywne przygotowania do uroczystości. Opracował okolicznościowy biuletyn, w którym odnotowane zostały wszystkie wydarzenia z całej historii chóru oraz jego koncerty i występy. Uroczystości

jubileuszowe odbyły się z wielkim rozmachem. Chór „Moniuszko” odznaczony został Odznaką Honorową Stopnia I z Laurem, natomiast władze miasta w imieniu mieszkańców przyznały chórowi Złotą Odznakę Honorową Miasta. Cały przebieg jubileuszu został udokumentowany na kartach kroniki. Prezes Leon May tak w niej napisał: *Zadaniem obecnego pokolenia i pokoleń następnych, jest zapisać tych kart jak najwięcej i pokazać społeczeństwu, że idea pieśni polskiej jest idea żywa i twórcza, zdolna stanowić o życiu i kulturze narodu polskiego.* Zarząd postanowił też wykonać album pamiątkowy zawierający wszystkie zdjęcia, wyróżnienia i dyplomy od początku istnienia chóru aż do września 1960 roku. Stanowiło to dokładne udokumentowanie osiemdziesiątej historii chóru. Album znajduje się obecnie w Izbie Pamięci Banku Ludowego im. ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie. Leon May z funkcji prezesa Koła zrezygnował w 1978 roku, nadal jednak działał w nim jako wiceprezes. Za zasługi w swej wieloletniej pracy, został



**KOŁO ŚPIEWACZE LUTNIA
Z DOLSKA
IX CHÓRALNE ŚWIĘTO WIOSNY
12.05.2012**

Koło Śpiewackie LUTNIA z Dolska, po prawej dyrygent Anna Majsner

odznaczony w 1990 roku Złotą Odznaką z Wieńcem Laurowym Polskiego Stowarzyszenia Chórów i Orkiestr. Zmarł w 1997 roku w Śremie, pochowany na cmentarzu przy kościele farnym. Leon May miał dwie córki: Jadwigę – nauczycielkę (zm. w 2004 r.) i Wiesławę – mgr bibliotekoznawstwa.

Wiesława Szermelek mieszka w Dolsku i oby tradycji rodzinnej stało się zadość, też jest związana z chórem. Chór Lutnia z Dolska, ma ponad stuletnią tradycję. Po małej przerwie w działalności, został reaktywowany w 1997 roku. Wiesława jest członkiem wspierającym, jest też chorążym pocztu sztandarowego, śpiewa sporadycznie. Wykazuje cechy typowego społecznika, dziedzicząc to po ojcu. Dyrygentem chóru od momentu jego reaktywowania jest córka Wiesławy Szermelek a wnuczka Leona Maya – Anna Majsner. Tak więc Anna jest już czwartym pokoleniem związanym ze śpiewem chóralnym. Ukończyła średnią szkołę muzyczną w Poznaniu, w klasie wokalistyki. Uczestniczy w

impresach kulturalnych Dolska i Śremu (Promenada jak za dawnych lat). Brała udział w Konkursie Piosenki Retro w Zbrudzewie (gm.Śrem), zajmując w 2011 roku pierwsze miejsce. W tym samym roku otrzymała wyróżnienie w Konkursie Piosenki Retro im. Mieczysława Fogga w Warszawie.

Pani Annie i chórowi Lutnia życzymy takich osiągnięć, jakie zdobywał chór prowadzony przez jej pradiadka i dziadka.

Urszula CIESIELSKA

Czego pragnie widz?

Nie samym chlebem

Niezwykłe rzadko mam okazję zobaczyć, co telewizja proponuje swoim widzom, ale nawet te nieliczne akty desperacji, kończę natychmiastowym wyłączeniem odbiornika. Telewizja to naturalnie bardzo szerokie dzisiaj pojęcie, bowiem setki programów – ogólnych i specjalistycznych – dzień i noc konkurują o zatrzymanie palca przełączającego kanały właśnie na ich ofercie. Oferta ta nie jest zbyt wysublimowana, przeciwnie – dostosowana poziomem intelektualnym do reklam, które są podstawowym składnikiem czasu antenowego, nawet tego misyjnego. Co do „misji” – wystarczył mi obejrzyany fragment programu *Kocham Cię, Polsko*, by wyrobić sobie o niej opinię. Nie mam pojęcia, czy to nadal chodzi. Jeśli nie, na pewno telewizyjni twórcy z abonamentu już tam coś nowego wysmażyli.

Telewizyjna oferta jest podła i skonstruowana tak, żeby dekoncentrować, wiecznie pilnować, by widz ani na moment się nie skupił na treści, by w tym ogólnym rozkojarzeniu podświadomie wchłonął komunikat o jedynym proszku do prania, cudownie latającej tabletkie przeciwbólowej i czym tam jeszcze. Wiem, wiem, są programy, ba, Programy nawet przez duże „P”, ale i tam nagle: brzdęk, dzwonek, łubudu – reklama!

Może zresztą jestem niesprawiedliwa i zżymam się na coś, czego zwyczajnie nie znam. A może zupełnie małostkowo zazdroszczę telewizji jej wiernego widza i tej kolosalnej przewagi uczestnictwa „bez wychodzenia z domu”. Cóż może być przyjemniejszego: kaptcie, pizamka, wygodny fotel, kawa, herbata, piwo, wino – jak kto woli... Żadnej mobilizacji: garnitur, suknia, makijaż, zero problemów z parkowaniem auta, deszcz? – niech sobie pada! No po prostu błogostan. Serialik się znudził? Ciach, włączamy jakiś konkursik. Wkurza prowadzący? Ciach, posłuchajmy wiadomości. Tu chwilę dłużej, bo

akurat dwaj politycy się opluwają, potem super sensacja, że kawa jednak nie szkodzi, a wczoraj szkodziła, księżniczka ze szpitala wyszła... No i jeszcze pogoda. Deszcz będzie? Ciach, zobaczymy, co tam Gustaw czy Waław gotuje. Ośmiornica? Brrr! Ciach...

Właściwie nie jest istotne, co przesuwają się po gigantycznym cyfrowym ekranie. Istotne, że cała ta nieprzebrana oferta jest – już nawet nie „na wyciągnięcie ręki”, ona po prostu jest w garści, w niewielkim prostopadłościaniku, czarnym lub srebrnym, nieco wyoblonym, wyposażonym w milion guziczków. W garści, jak ten wróbel, który lepszy jest od gołębia na dachu. A że tam facet już, już ma zginąć, lecz – reklama, to i nawet lepiej, bo można sobie spokojnie herbatę zrobić czy drugą butelkę przynieść z lodówki.

Proszę wybaczyć mi tę eksplozję niechęci do włączonego telewizora. Proszę spokojnie sobie oglądać, co kto chce, co komu się zechce. Mnie zajmuje ostatnio problem psychologiczny, który – bo ja wiem – określić można by mianem „koszmar organizatora”. Z tego organicznik XXI wieku się nie wyleczy, dopóki taka potęga jak telewizja nie padnie, czyli – krótko mówiąc – nigdy. Organizator, to taki uzurpator (czy rym ten jest przypadkowy?), któremu się zdaje, że ludzie chcą właśnie tego, co jemu się uroiło. Zabiega o fundusze, stara się dotrzeć z informacją, nie dosypia, by wszystko było „tipes-topes”... Organizator, w osobie pojedynczej lub zbiorowej, wymyślił sobie, że on i tylko on uszczęśliwi lokalną ludzkość swoim projektem. I organizuje...

Narodowe czytanie *Lalki* Bolesława Prusa w Książu Wielkopolskim.

Oj! Oj! Ha, ha, ha... Trzymajcie mnie, bo skonom ze śmiechu! *Lalka!* Prus! Co? Po co? Komu?

No, może, gdyby ten Prus wystąpił w *Na Wspólnej* albo w *M jak miłość*... To, może, jedna pani z drugą panią przyszyby zobaczyć Go na

żywo. Nie żyje? Od kiedy? W TVN nic nie mówili... Ach, Kamas nie żyje! Znaczący, Wokulski. *Ta da da da, ta da, ta da da da dam dam dam...* (to motyw z Kurylewicza, który tłucze się w mojej biednej głowie, obdarzonej totalnym muzycznym beztalenciem – przepraszam). Taaak. Czytaliśmy *Lalkę* na rynku w Książu. Trafił mi się cudowny fragment: Wokulski puszcza konia na wyścigach i koń ten wygrywa. Wiadomo, kupił od Krzeszowskiej, by przypodobać się pannie Izabeli, robiąc na złość baronowi Krzeszowskiemu. Brawo, Wokulski! – krzyczy tłum ukontentowany, że koń kupiecki prześcignął konie hrabiowskie. Brawo, Wokulski! – krzyczy wszystko we mnie, świadomej, że od prawie stu lat arystokracji już nie ma, że mamy równość, demokrację, powszechny obowiązek szkolny... Cóż, ze szlachty nie jestem, przodkowie moi z obu stron korzenie mają chłopsko-robotnicze. Mam prawo do tych proletariackich sentymentów. Pominąwszy moje rodzinne konotacje, na rynku w Książu, oprócz czytających kolejne partie powieści, nie było nikogo. Przysłowiowy pies z kulawą nogą się nie zaplątał.

Przyznać należy, że organizacyjnie akcja ta wyglądała trochę na „odfajkowanie”: kazali, to zrobiliśmy, a teraz umywamy ręce. Nie dotyczy to czytających, którzy naprawdę się przygotowali, naprawdę pokonywali stres publicznego wystąpienia w nietypowej dla siebie roli wśród wicheru szarpiącego kartki i – co najpiękniejsze – czytali z zaangażowaniem, z czuciem, ze świadomością, że to literatura najwyższych lotów. Niektórzy dorośli podzielili swój tekst na role i czytali z dziećmi. Na nic te wysiłki. Być może trzeba było zamknąć się w Bibliotece Publicznej i poczytać w komfortcie, w samej przyjemności głośnego czytania sobie i jeszcze tym kilku innym osobom, które zdecydowały trzy godziny bezcennego czasu

przeznaczyć na Bolesława Prusa.

Nie ma sensu analiza zdarzenia pod kątem wniosków na przyszłość. Perspektywa obcowania z literackim dziełem nie wyrwała książan z domu i to jest fakt. Faktem jest także permanentne ignorowanie wydarzeń na ksiąskim rynku. Cokolwiek by się tam nie działo, uczestnikami są organizatorzy, współorganizatorzy, występujący (w takiej czy innej roli) oraz rodziny występujących. Na tym koniec. Może to i nuda: Dzień Flagi, intronizacja Króla Kurkowego, Kiermasz Talentów, patriotyczna uroczystość rocznicowa, czytanie *Lalki*... A może to nuda właśnie dlatego, że jak bardzo organizator by się nie starał, w końcu odnosi wrażenie, iż stara się sam dla siebie. Widz potencjalny i tak zostanie w domu, przed telewizorem. Pogoda nie ma znaczenia. Trudno też mówić o braku informacji. W stolicy naszej gminy wieści rozchodzą się lotem błyskawicy i wszyscy są o wszystkim znakomicie poinformowani. Młodszy są dobrze skomunikowani na Facebooku i wystarczy jedno ogłoszenie kilka razy udostępnione, żeby było powszechnie wiadomo, co się wydarzy.

Właśnie! Weźmy tych młodszych. W sierpniu garstka pasjonatów zorganizowała festiwal Książ Rock Zone. Szybko sobie w głowie przeliczam: średnio w gminie 80 osób z jednego rocznika, razy – powiedzmy 20 (od 15 do 35 roku życia) – daje 1600. Przyjąwszy absolutne minimum zainteresowania muzyką rockową w tym przedziale wiekowym: 20%, mamy 320 osób, z których połowa powinna się na festiwalu pojawić. Wstęp bezpłatny, pogoda piękna, rock rozbrzmienia ze znakomicie nagłośnionej sceny, głos przez gminę się niesie, amfiteatr wyremontowany, otoczony parkiem, sobotnie, letnie popołudnie... Tak. I to nie wyrwało książan z domu. Na widowni nieliczne grupki przyjezdnych – wiernych fanów lub po prostu



Autorka czyta fragment „Lalki”

członków zespołów, które wystąpiły już lub dopiero miały wystąpić. Od czasu do czasu przysiadł ktoś starszy, kto akurat z wnuczką do parku się wybrał. Nie znam zespołów, które grały na festiwalu, co chyba jest naturalne. Mam prawo być panią w średnim wieku, która rock'and'rollowy etap życia ma za sobą. Z obiektywnego źródła wiem jednak, że muzycy, którzy wystąpili w Książu, są znani i uznani. Obserwowałam ich zachowanie, bo – przepraszam – słuchanie nie sprawiało mi aż takiej przyjemności, i widziałam, że dają z siebie wszystko. To się widzi, gdy występujący lekceważy miejsce koncertu, co się przytrafiało tak zwanym gwiazdom sprowadzonym do Książa za ciężkie pieniądze. Tutaj, podczas festiwalu, wszystko było szczerze, autentyczne, stuprocentowe. Organizatorzy wzniesli się na wyżyny – wszystko grało dosłownie i w przenośni. Cóż.

Amfiteatr nieco się zagęścił po zmroku, to jest po pięciu godzinach grania, i może w szczytowej godzinie było tam nawet 150 widzów, w tym

nadal znaczny procent przyjezdnych. Książanie mieli problem z oglądaniem telewizji, bo rockowy grzmot przewalał się nad miastem. Znajomy, który musiał opuścić amfiteatr przed zmrokiem ze względu na małe dziecko, opowiadał nam, że naszego wykładu na temat historii Książa wysłuchał w ogrodzie i nie uronił ani słówka. Spokojny głos Bohdana Kaczmarka docierał wyraźnie, więc nie ma wątpliwości, że muzyka zagłuszała w domach każdy dźwięk z połyskujących błękitnym światłem odbiorników. Tu wyjaśnia się wytrwała obecność nasza wśród młodzieży. Organizatorzy zadbali o swoich widzów i w ten sposób. Zaplanowali prezentację historyczną w momencie dłuższej przerwy technicznej przed wystąpieniem gwiazd wieczoru. Jednak nie o dwoje wytrwałych regionalistów w średnim wieku chodzi. Nie dla nas odbyła się ta impreza, ale też – ku ogromnemu rozczarowaniu organizatorów – nie dla młodych książan.

Na widza nie wolno się obrażać. Nie przyszedł? Widocznie nie skusiła go oferta. Producent nie

może się obrażać na klienta, który nie wybrał jego towaru. Nawet jeśli w sklepie, w którym na co dzień jest tylko ocet, pojawi się nagle inny produkt, klient ma prawo go nie kupić. Tylko co ma w tym momencie zrobić producent?

Co ma zrobić organizator wydarzenia, które nie przyciągnęło spodziewanej liczby uczestników? Dodajmy, co nieskończenie ważne: organizator pracujący społecznie. Więc? Ma zamknąć się w domu i powiedzieć: „Nigdy więcej!”? To przecież dużo kosztuje i wymaga wielkiego wysiłku. Nie warto? Po co się fatygować, pozyskiwać fundusze, angażować krewnych i znajomych, denerwować się, brać odpowiedzialność? Po co stwarzać ofertę inną niż disco polo i Czadoman (!), skoro tylko dwie wyginające się panny w białiznie i facet w żółtych butach do kolan związanych czarnym sznurowadłem są w stanie przyciągnąć tłumy? (Ha! Przynajmniej z nimi przegrywa telewizja!) Co z tego, że tak zwana oferta na czas wolny będzie w Książu bogatsza? Czy cały wysiłek stwarzającego alternatywę zapaleńca ma iść na to, by potencjalny widz miał komfort powiedzenia: „Dziękuję, nie skorzystam”?

Rozważania moje nie są bynajmniej czysto teoretyczne. Za moment i my wystąpimy w roli organizatora wydarzeń kulturalnych. A skoro muzyka rockowa nie spotkała się z oczekiwanym oddźwiękiem, czegoż się spodziewać, celując jeszcze trochę wyżej? Wspólnie z Fundacją Bez Nazwy realizujemy projekt Wieś Kulturalna. Fundacja pozyskała finansowanie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Kultura Dostępna. Nazwy – programu i projektu – mówią same za siebie i łatwo zrozumieć, że dusza moja na ramię się przeniosła. Nam się wydaje, że przygotowaliśmy moc atrakcji. Już za chwilę przyjeżdża do nas na tydzień Yach Paszkiewicz. W szkole w Mchach poprowadzi z młodzieżą autorskie warsztaty animacji filmowej i poprowadzi także warsztaty tworzenia wideoklipu z naszym rodzimym zespołem Dzieci We Mgle. Postaramy się jeszcze umożliwić mieszkańcom spotkanie z „ojcem polskiego wideoklipu” podczas prezentacji jego filmów. Nieco później przyjedzie do nas artystka Justyna Żywiecka, która z kolei zajmie panie warsztatami artystycznego rękodzieła,

pokazując, jak z banalnych, niepotrzebnych rzeczy stworzyć niebanalne ozdoby: biżuterię lub bibeloty. Nasze charłubskie gospodarstwo przeżyje (mamy nadzieję) najazd młodzieży artystycznej – specjalistów od sztuki wizualnej i muzyków, która to młodzież zorganizuje piknik ze sztuką otwarty dla mieszkańców, zwłaszcza młodych mieszkańców, zważywszy na rodzaj proponowanej muzyki: trap, elektronika, ambient. Liczymy, że plan integracji młodzieży naszej z przyjezdną się powiedzie, że się nawzajem czegoś od siebie nauczą. Co dalej... Wiem, co dalej, ale obawa rośnie. Przemknę szybko, to może nie zapeszę i też się uda. Kwartet smyczkowy w kościele pw. św. Mikołaja w Książu, dwa wyjazdy do Poznania: teatr i filharmonia, oba połączone z wizytą w galerii sztuki lub w muzeum...

Na to są pieniądze z ministerialnego programu, żaden uczestnik nie poniesie kosztów. Trwa organizacja i promocja. Przedsięwzięcie jest rozłożone na kilka tygodni, logistycznie skomplikowane: wielu artystów, różne miejsca, sprzęt, materiały, noclegi i wyżywienie – w dwóch słowach: dużo roboty. Nic to, Baśka! Nic to w porównaniu z niepewnością, czy dopiszą uczestnicy, czy autokar ma „tylko” czy „aż” 40 miejsc, czy świetlica w Mchach się zapełni, czy przybędzie na łąkę dziecko, które wykona „łapacz snów”.

Jest początek września i wszystko przed nami. Za ponad dwa miesiące dowiemy się, czy chociaż przez moment zwyciężyliśmy wszechpotężną telewizję i na chwilę oderwaliśmy od niej paru widzów. Publiczność nas zweryfikuje, choć nie oczekujemy tłumów. Przyświeca nam ta sama wiara, jaką mieli Michał Zakrzewski i Adam Hypki – organizatorzy festiwalu Książ Rock Zone 2015, że mimo wszystko warto stwarzać alternatywę. Niech jednego człowieka porwie, zachwyci, skieruje jego życie na inne tory. Niech jeden telewizor wypadnie przez okno. To wystarczy.

Katarzyna GWINCIŃSKA
fot. zbiory autorki

Jaume Cabré.

Zbrodnia i władza

Z górnej półki

Kataloński pisarz zastąpił na rynkach wydawniczych Europy głównie za sprawą „Wyznać”, dojrzałej, znakomitej książki z roku 2011 oraz – wydanej w Polsce później – powieści „Głosy Pamano” z 2004 r. „Jaśnie pan” jest natomiast jego wcześniejszym utworem (1991). Tutaj wprawdzie już odnajdujemy ów barokowy strumień świadomości, który jest charakterystycznym rysem stylu Jaume’a Cabré, ale dzieło to robi wrażenie przede wszystkim przegadanego. Jednak nie jest to w żadnym wypadku książka nudna, co to, to nie.

Rzecz dzieje się u schyłku XVIII wieku, wszechobecna jest zatem w powieści aura oczekiwania na nowe czasy. Czuć powiew francuskiej rewolucji, która przetacza się właśnie przez Europę, a jeden z protagonistów odważa się przyjąć na Bal Końca Wieku bez peruki. Ha! Cóż za szalone nowatorstwo!

Bohaterem i centralnym tematem książki jest Don Rafael Masso i Pujades, prezes cywilny Trybunału Królewskiego w Barcelonie, jego żarłoczne pragnienie władzy i zaszczytów, jego uniesienia miłosne i erotyczne, jego zbrodnia i spektakularny upadek. Wprawdzie wątek kryminalny meandruje po powieści praktycznie od początku, od momentu znalezienia zaszytyletowanej nagiej francuskiej śpiewaczki operowej, jednak nie on jest tu najistotniejszy. Ci z czytelników, którzy nastawiają się na zapowiedzianą w opisach wydawniczych krwistą historię morderstwa, muszą się rozczarować. Książka opowiada wyłącznie

o cynizmie i egocentryzmie ludzi. Głównie mężczyźni, dodajmy, gdyż kobiety w tej powieści pełnią tylko dwie role: albo są kompulsywnymi dewotkami (Marianna, żona jaśnie pana) albo rozkładają nogi. Są traktowane wyłącznie podmiotowo i nie inaczej. Powieść jest bowiem przede wszystkim studium męzczyzny, karierowicza bez skrupułów, w najwyższym stopniu skorumpowanego przedstawiciela klasy rządzącej, egocentryka zapatrzonego w swój pępek (a raczej w to, co znajduje się poniżej). Takim jest Don Rafael Masso i jego akolici – urzędnicy, wojskowi i arystokraci. W tym (męskim) świecie wszystkie chwytły, wszystkie kłamstwa są dozwolone, bo przecież walczymy o władzę, nieprawdą, a cel uświęca środki.

Lekkim piórem kreśli Cabré malowniczy obraz katalońskiego społeczeństwa u schyłku wieku, głównie libertyńskich sfer wyższych, ale nie tylko – opis spotkania umierającego ogrodnika Ciseta z proboszczem, notariuszem i podsłuchującą wszystkich służącą, Galeną, jest nakreślony po mistrzowsku. Scenka ta przypomina mi nieodparcie obraz flamandzkiego malarza rodzajowego Adriaena Brouwer’a – drapieżne, ponure postaci, które emanują złem i chciwością, spowite ponurą, przynębiającą poświatą, błotniste ulice, szare szaty, zapach brudu, nędza materialna i duchowa...

Za pośrednictwem jaśnie pana prezesa wchodzimy za kulisy światowego życia Barcelony, uczestniczymy w balach, koncertach i procesjach, poznajemy wszelkie plotki

i komeraże, układy i miłosne gierki socjety skupionej wokół ośrodków władzy, królewskiej i kościelnej. W tym bezwzględny świat ludzie są tylko pionkami na szachownicy układów politycznych, a przy tym, co doskonale pokazuje Cabré, pozostają przeraźliwie samotni. Egoistyczny do granic, odpychający główny bohater powieści, Don Rafael, budzi mimo wszystko litość w momentach swoich uniesień miłosnych do obojętnej kochanki, a kiedy, przyparty do muru traci wszystko, staje się postacią patetyczną. Jego żona, ogrodnik, kochanka, czy wpływowy markiz, wszyscy oni są odrębnymi, samotnymi wyspami. Jednak myślą tylko o sobie, obojętni na zło i krzywdę. Głęboko pesymistyczny obraz. Na jego tle jedyną jasną postacią jest nieszczęsny Andreu, idealistyczny poeta i kochaś, ofiara układów i brutalnego cynizmu, jedyny człowiek prawdziwie kochany przez przyjaciół i bliskich. Cabré poświęca sporo miejsca rozmyślaniom towarzyszącym tej tragicznej postaci, drobiazgowo analizując emocje człowieka zbliżającego się do momentu ostatecznego. Jest to z pewnością najmocniejszy fragment książki, nie tylko ze względu na wzruszenie, które ogarnia czytelnika, ale też dlatego, że właśnie tutaj najbardziej widzimy rękę przyszłego mistrza.

Jeśli jednak pisarzowi chodziło o to, by niewinny Andreu, wieziony na szafot w towarzystwie prawdziwego złoczyńcy, stał się symbolem odkupienia – byłby to jakiś groteskowy chichot... Gdyż nikt i nic nie jest w stanie uratować

ponurego siedliska zła, którym stała się malownicza Barcelona w powieści Jaume'a Cabré.

J.A.

„Jaśnie pan”, Jaume Cabré, wyd. Marginesy, 2015



KSIĘGARNIA
P R Z Y
R Y N K U

KWESTIONARIUSZ KULTURY



nys. U. Łukomska

WOJCIECH MAJCHRZAK

Urodzony w 1959 roku w Śremie. Społecznik, animator kultury, pomysłodawca wielu lokalnych przedsięwzięć np. rekonstrukcji Latarni Gazowej w Śremie, pomnika Kozy na Rynku w Dolsku. Absolwent Państwowego Technikum Weterynaryjnego we Wrześni. Mistrz i rekordzista Polski młodzików w sztafecie 4x400m z roku 1974, czołowy biegacz na dystansie 400m przez płotki w kategorii młodzików (w Śremie pierwszym trenerem był Jan Jankowski „Kurek”). Laureat plebiscytu Gazety Poznańskiej na dziesięciu najlepszych lekkoatletów roku 1974. Po powrocie do Śremu pracował w Lecznicy dla zwierząt. Od 1984 r. związany ze Spółdzielnią Mieszkaniową w Śremie. Współtwórca (razem z A. Lazarem) Klubu Relax. Jeden z pomysłodawców i twórców działającej od 1991 r. Telewizji Relax. Współautor kilku filmów historycznych takich jak: „Liść klonu”, „Bez jednego wystrzału”, „Oblicze piekła” itp.

1 Kim jestem...

Szczęśliwym człowiekiem.

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Rodzina.

3 W czym jestem dobry...

W organizowaniu imprez i różnych form działalności sportowo-kulturalnych.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Nieustannie uszczęśliwiać innych.

5 Co chcę w sobie zmienić...

Lepiej organizować swój czas wolny.

6 Co daje mi szczęście...

Wnuki.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Narodziny mojego syna.

8 U przyjaciół najbardziej cenię...

Szczerość i zaufanie.

9 Bohaterstwo to dla mnie...

Poświęcenie dla dobra innych.

10 Epoka, w której chciałbym żyć...

Myślę, że obecne czasy są odpowiednie by się w miarę realizować.

11 Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Utracić kogoś bliskiego.

12 Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

Każda jest cenna na swój sposób.

13 Moja największa wada...

Za duże zaangażowanie (zbytne przejmowanie się losem innych).

14 Główna cecha charakteru...

Cierpliwość i wytrwałość w dążeniu do celu, nie lubię narzekania.

15 Moje motto życiowe...

„Nie ma rzeczy niemożliwych”.

16 Ulubiony dźwięk...

Głos życzliwych ludzi.

17 Dźwięk, który mnie denerwuje...

Dźwięk latającego komara.

18 Nie mógłbym żyć bez...

Otoczających mnie kochanych osób i przyjaciół.

19 Co wzbudza we mnie lęk...

Utrata stabilizacji.

20 Moje ukryte marzenie...

Wiele drobnych marzeń, które stopniowo realizuję.

21 Dar natury, który chciałbym posiadać...

Nieustające zdrowie.

22 Zawsze śmieszy mnie...

Dobry kawał i umiejętność szybkiej riposty.

23 Słowo, którego nadużywam...

Ogólnie dużo mówię także trudno się „połapać”, którego słowa nadużywam.

24 Zdanie o mnie, które zapamiętałam...

„Nigdy nie narzeka”.

25 Myśl, która pojawia się gdy nie jest najlepiej...

Coś się wymyśli.

26 Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Jeśli jest mi bliska to zawsze wybaczę.

27 Wolność to dla mnie...

Przestrzeń, której mi nikt nie odbierze.

28 Kim chciałbym być, gdybym nie był tym kim jestem...

Po co gdybać, dobrze jest jak jest.

29 Obecny stan mojego umysłu...

Aktywny w tworzeniu nowych pomysłów.

30 Kim chcę zostać w pamięci innych...

Wartościowym i zawsze uśmiechniętym człowiekiem.

NASZTALENT

ROMANA FILIPOWSKA



Urodzona w 1985 r. w Śremie. Zodiakalny Baran. Aktorka i wokalistka. Absolwentka Studium Piosenkarskiego im. Cz. Niemena w Poznaniu (2007) oraz Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu (2012).

Jeszcze w trakcie studiów zaczęła grać w Teatrze Polskim w Poznaniu. Jednym z jej pierwszych spektakli był „Amadeusz” w reżyserii P. Szkotaka, w którym zagrała Konstancję – żonę Mozarta, śpiewając też fragment arii Mozarta. Jej spektakl dyplomowy został dostrzeżony przez Teatr Współczesny we Wrocławiu i zaproszony na bardzo prestiżowy festiwal „Różewicz rozrzucony”. Ważnym wydarzeniem artystycznym było dla Romany spotkanie z Januszem Wiśniewskim, jednym z najlepszych polskich reżyserów, który sam ją odnalazł i zaprosił do współpracy. Zagrała w reżyserowanym przez niego spektaklu Dybuk (w roli Lei śniącej), była także jego asystentką i współtwórcą kostiumów (w nurcie niemieckiego ekspresjonizmu). Równie cenna była dla niej praca z tancerzem, choreografem i reżyserem – Emilem Wesołowskim pracującym dla największych Oper i Teatrów Muzycznych w Polsce i na świecie, na stałe związanym m.in. z Operą Narodową w Warszawie. Do ważniejszych spotkań zalicza także kontakt z Jerzym Satanowskim, do którego kompozycji śpiewała jeszcze przed szkołą teatralną.

Bardzo ważna była dla niej zawsze muzyka – szczególnie ucieszyła ją propozycja Jana Szurmieja, jednego z najbardziej uznanych reżyserów zajmujących się musicalami, który po przesłuchaniach w Warszawie zaproponował jej główną rolę kobiecą w musicalu „Ach! Odessamama” w Teatrze Lubuskim (wkrótce ukaże się płyta – właśnie zakończyły się nagrania). To za tę rolę otrzymała wyróżnienie „Obiecującej nowej postaci w zespole Lubuskiego Teatru”. Niedługo potem zagrała w spektaklu Lecha Mackiewicza – reżysera i aktora tworzącego głównie w Australii, współpracującego m.in. z takiej klasy aktorami jak Cate Blanchett. W międzyczasie była Tytanią w „Śnie Nocy

Letniej” w reż. R. Czechowskiego. W 2015 r. została laureatką nagrody dyrektora Lubuskiego Teatru za debiut i kreację zbiorową w spektaklu „Ja Ciebie też” Lecha Mackiewicza. Obecnie pracuje nad rolą w przedstawieniu „Gdy przyjdzie sen”. Jest to tragedia miłosna w reżyserii P. Wolaka i K. Dworak. Prapremiera spektaklu odbyła się na początku września.

Na pytanie od kiedy jest aktorką, odpowiada – „aktorką się bywa... ukończenie szkoły nie sprawia, że jesteśmy skończeni artystycznie – na ten zawód i takie miano pracuje się całe życie... to sposób myślenia, styl życia, wyrzeczenia, radości i bóle...”

Spytałam Romanę do czego porównałaby swoją pracę – „...nie sposób jej do czegośkolwiek porównać... każde zadanie jest inne, wymaga innych środków i przygotowania... do każdej roli podchodzę jakbym zaczynała wszystko od początku, jakbym nic nie wiedziała... to trochę psychoterapia, trochę naukowa analiza, czasem po prostu fizyczna praca...”

Do Śremu zawsze wraca ze szczególnym sentymentem. Znamy ją i pamiętamy z występów w pięciu projektach muzycznych Krzysztofa Maciejewskiego. Jednak na stałe związana jest z Warszawą, gdzie realizuje się przed kamerą (Głęboka woda, M jak miłość, Pierwsza miłość), a przede wszystkim w swoim ukochanym dubbingu. Użycza głosu w największych studiach dubbingowych w Polsce m.in. w Start International i Sdi Media. Można ją usłyszeć w takich produkcjach jak iCarli, Zwyczajny serial, Monster High, Thunder Cats, Planet X, Lego Ninjago, Japonizi. Sympatycy gier komputerowych odnajdą ją również w obsadzie jednej z najpopularniejszych gier na świecie – Wiedźmin (ok. 16 mln. użytkowników na świecie), gdzie wcieliła się w rolę Cynthii.

Współpracowała też z „Disneyem” – wystąpiła w programie „Szkoła księżniczek”, w odcinku poświęconym aranżacji wnętrz.

Jestem... głodna...

Chciałabym... osiągnąć czegoś wyjątkowego w sztuce, czegoś nad...

Myślę o... wyprawie do Indii

Inspirują mnie... muzyka, ludzie, inne kultury

Potrafię... cieszyć się życiem, celebrować codzienność

Uwielbiam... podróże, jedzenie i ... (to już zostawię dla siebie)

Ewa NOWAK
fot. Mangda

Plemię

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Jest coś kojącego w ciszy. Ostatnio staje się zjawiskiem ekskluzywnym, trudno dostępnym. Dla większości ludzi przebywanie na co dzień w strumieniu dźwięków jest oczywiste i powszechne. Także – a może zwłaszcza – na sali kinowej. Wszak jest to świątynia audiowizualnych doznań. Ukraiński reżyser Myrośław Ślaboszyckij neguje taki pogląd właściwie zupełnie rezygnując ze strony dźwiękowej.

W jego filmie „Plemię” przedstawione wydarzenia nie są opatrzone napisami ani głosem lektora, bohaterowie zaś porozumiewają się jedynie językiem migowym. Podczas seansu widzowi towarzyszą jedynie dźwięki, które

wyduje otaczający bohaterów świat. Dynamika ujęć w filmie (kamera „z ręki”) oraz ukazywanie wydarzeń z pewnego dystansu daje złudzenie podglądania bohaterów.

„Plemię”, to poniekąd, hołd złożony kinu niememu, ale też niebywała okazja do przypomnienia sobie, na czym polega siła ekspresji, czego możemy dowiedzieć się z mowy ciała, jak istotną rolę odgrywa język oraz co różnicuje człowieka od zwierzęcia. Nie ma chyba lepszej metody na podkreślenie waloru ludzkiego narzędzia komunikacji, jak zupełne jego wyciszenie. Ponieważ w całym filmie nie pada ani jedno słowo mówione, widz od początku zostaje wciągnięty do świata, który rządzi się nieco innymi prawami, niż ten zazwyczaj ukazywany w kinie. Co zaskakujące, brak klasycznych dialogów wcale nie utrudnia



seansu. Fabularnie spójne i przemyślane w swojej konstrukcji „Plemię” opowiada dość klasyczną historię, która odświeżona jest dzięki językowi migowemu, który jest jedynym używanym w filmie.

Bohaterem jest Grigoriy i, tak jak reszta grających w filmie aktorów, jest głuchoniemym naturszczykiem, idealnie wpisującym się w surowy oraz brutalnie wiarygodny świat mieszkających w przyszłolnym internacie uczniów. Praw i obowiązków w owym internacie nie ustalają dorośli, ale tytułowe Plemię, będące zorganizowaną grupą buńczucznych przestępców, zajmujących się terroryzowaniem nowoprzybyłych uczniów, kradzieżami, napadami, wyłudzeniem oraz prostytutką. Już pierwsze zajęcia, a następnie obiad na stołówce dają się Grigoriemu we znaki. Przypisany do klasy, od początku staje się nowym celem dla rządzącej w szkole szajki, przeprowadzającej go przez rytuał inicjacyjny i pokazującej, jak wygląda hierarchiczny podział ról społecznych w środowisku; w tym, jak dzielone są wykradzione lub wyłudzone dobra. Grigoriy nie jest klasycznie hollywoodzkim przykładem bohatera wchodzącego w nowe, zepsute środowisko, z własnym bagażem wzniosłych zasad moralnych. Proces asymilacji z otoczeniem i afirmacja zastanego stanu rzeczy przychodzą mu niezwykle łatwo. Grigoriy szybko rozumie, że sam – jako jednostka – jest na przegranej pozycji, dlatego instynkt przetrwania, samozachowawczość oraz potrzeba przynależności do grupy popycha go w kierunku silniejszych przedstawicieli stada. Reżyser przy pomocy kadrowania i zamierzonego stylu narracji pokazuje, jak instynkt stadny potrafi kierować ludzkim zachowaniem, wyłączając przy tym rozum, ucywilizowanie i lata ewolucji. Gdyby nie fakt, że akcja filmu rozgrywa się w bliżej nieokreślonej, współczesnej ukraińskiej lokacji, można by odnieść wrażenie, że oglądamy nową wersję „Władcy Much” Williama Goldinga. Reżyser skupia się głównie na pozostawionym samemu sobie środowisku dzieciaków, w których jasno i klarownie rozrysowane są pozycje w grupie i z góry przypisane statusy, a grubą kreską narysowane postaci jedynie przerażają swoją bezwzględnością i bezpośredniością. Dorośli odgrywają tu raczej drugorzędną rolę, nie tyle niepotrzebną,

co nieingerującą w uniwersum głuchoniemiej młodzieży.

Myrosław Słaboszpyckij w swoim „Plemieniu” nie tylko zbrutalizował codzienność młodych ludzi, żyjących w tym wypadku w ubóstwie, ale co istotniejsze, podkreślił znaczenie pozytywnych wzorców i wartości moralnych dla porządku panującego w każdej społeczności. Uczniowie internatu nie mają żadnych autorytetów, a pozostawieni sami sobie dostosowują się do zastanej rzeczywistości najlepiej, jak potrafią. Oglądając sceny w „Plemieniu”, w których bohaterowie nie robią nic specjalnego, poza prowadzeniem rozmowy na migi, możemy się tylko domyślać, o czym jest dyskusja. Patrzymy i czekamy, ale reżyser nie pozostawia widza w błogiej nieświadomości. Skrupulatnie buduje napięcie i przygotowuje nas na kolejną dawkę informacji, którą bez problemu za chwilę wyłapiemy. Nie trzeba znać języka migowego, żeby zrozumieć, co dzieje się na ekranie. Gorzej, jeśli ignorujemy fakt, że świat przedstawiony w tym filmie wcale nie musi się różnić od naszej codzienności, a w jego pojęciu nie pomoże żaden język świata.

Mimo swojej ogromnej wartości, pełnometrażowy debiut Słaboszpyckiego nie zachwyci każdego widza.

I nie chodzi o artystyczną głębię... Dla niektórych odbiorców obecne w filmie drastyczne sceny mogą być zbyt sugestywne. W „Plemieniu” występuje bowiem „ultraprzemoc”. Kamera w skupieniu rejestruje upodlenie, bezradność i wybuchy agresji, widzowi pozostaje śledzić wydarzenia – lub odwrócić wzrok. I choć podczas seansu można przewidzieć, w którym akcie filmu pojawi się wspomniana „ultraprzemoc”, gdy już do tego dochodzi, trudno pozostać obojętnym. Blisko trzydzieści nagród i wyróżnień na wielu festiwalach filmowych (m. in. w Londynie, Cannes, Hamburgu i Warszawie) poświadczą wyjątkowość „Plemienia”. Wyjątkowe zjawisko, bardzo dobry film. Polecam!

Joanna CHMIELEWSKA

„Plemię” reżyseria: Myrosław Słaboszpyckij

scenariusz: Myrosław Słaboszpyckij

kraj produkcji: Ukraina, Holandia; data premiery: 21 maja 2014 (świat), 29 maja 2015 (Polska)

Moje magiczne miejsca

Kontynuując wędrówki po moich magicznych miejscach chcę Państwa zaprosić do Książa Wielkopolskiego, pięknego miasteczka, które warto jest poznać.

Zachęcam do jego zwiedzania, ale moim celem nie jest przedstawienie jego historii, bo te informacje znajdziecie Państwo w przewodnikach i internecie.

Książ to moje miasto rodzinne, w którym się wychowałem, spędziłem lata dzieciństwa, z nim i jego okolicami wiąże się wiele moich wspomnień. Chcę zaprosić Państwa do trzech miejsc, które były i są dla mnie miejscami szczególnymi.

Pierwsze to „mogiły” znane każdemu mieszkańcowi Książa, położone na obrzeżach parku. Znajdują się tam dwa kopce z krzyżami zwane mogiłami, gdzie pochowano poległych w bitwie o Książ powstańców. Na kopcach rosną stare poskręcane sosny, według obiegowej opinii zostały one posadzone w 1858 roku, w dziesiątą rocznicę bitwy. Miało to miejsce z okazji rodzinnego zjazdu Niegolewskich w majątku we Włoszciejówkach. Gościem tego zjazdu był poeta Władysław Syrokomla. Napisał on popularny do dzisiaj wiersz „Waleczni Kossarze”. Dzisiaj jego treść można odczytać na jednym z pomników znajdujących się na terenie „mogił”. W pobliżu mniejszej z mogił znajduje się „Pomnik Kosynierów” odsłonięty w 100. rocznicę bitwy. W pobliżu drugiej znajdują się dwa inne, postawione w latach późniejszych. Właściwie na jednym z nich zamieszczony jest wiersz Władysława Syrokomli. W czasach mojego dzieciństwa miejsce to wyglądało inaczej, były tylko dwie mogiły i Pomnik Kosynierów, rosły też bujne krzewy. Dla mnie było to miejsce tajemnicze, mające swój własny klimat, niby blisko miasteczka, cisza, spokój, monumentalne dla dziecka mogiły, tajemniczy pomnik z Kosynierem, to wszystko tworzyło specyficzny

klimat, który działał na wyobraźnię. To miejsce pobudzało moje zainteresowanie tym co się w Książu w 1848 roku wydarzyło. Zafascynowany byłem książką „Platan Kosynierów”, która była moją ulubioną lekturą opisującą wydarzenia związane z bitwą. Inną ulubioną książką opisującą te same wydarzenia była powieść „Stach Wichura”. W latach późniejszych odkryłem w Bibliotece Kórnickiej wydaną w Paryżu w latach 60. XIX wieku książeczkę „Opowiadanie ułana spod Książa” autorstwa Józefa Kropiwnickiego, uczestnika bitwy pod Książem – fascynująca lektura opisująca bitwę i wydarzenia z nią związane, oczami jej uczestnika. Mimo, że od czasów mojego dzieciństwa minęło kilkadziesiąt lat, ilekroć trafiam na „mogiły” to odnajduję ten sam klimat, ciszę, spokój i mistykę tego miejsca. Mam wrażenie, że dla mnie na „mogiłach” zatrzymał się czas.

Drugim miejscem, do którego zapraszam to Włoszciejówki, niewielka wieś leżąca 3 km na południowy zachód od Książa – w tej niewielkiej wiosce pięknie położonej w pobliżu Jeziora Włoszciejowskiego, znajdują się dwa piękne obiekty zabytkowe.

Pierwszy z nich to położony na jednym ze wzgórz późnogotycki Kościół Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny z wmurowanym w zewnętrzną, wschodnią ścianę głazem ze śladami stóp. Według legendy są to stopy Matki Boskiej. Wewnątrz Kościoła w głównym ołtarzu znajduje się obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, uznany przez okoliczną ludność za cudowny. W bocznej kaplicy znajduje się żeliwna tablica upamiętniająca 200. rocznicę zwycięstwa Jana III Sobieskiego pod Wiedniem.

Drugi to znajdujący się na sąsiednim wzniesieniu klasycystyczny dwór z końca XVIII w. należący w pierwszej połowie XIX w. do Andrzeja



Mogiła



Pałac we Włoskiejewkach

Niegolewskiego, który zastąpił poprowadzeniem szarzy polskiej kawalerii w wąwozie pod Somosierrą w Hiszpanii.

Na południe od wsi znajduje się Centrum Szkolenia Specjalnego DELTA Special Training Center.

Kiedyś Włoskiejewki to mała nieznana wioska, dzisiaj dzięki istnieniu Centrum znana nie tylko w Polsce, ale i w innych częściach świata.

Coś co martwi mieszkańców i władze gminy to stan techniczny dworu, który znajduje się w stanie ruiny. Słyszałem, że dwór kupił i chce odrestaurować Pan Andrzej Bryl, właściciel Centrum. Jeśli to prawda to jest to wspaniała wiadomość, gdyż tylko prywatny inwestor może przywrócić na dawną świetność.

Co było w tej wiosce, że zaciekała takiego dzieciaka jak ja? O dziwo nie były to zabytki Włoskiejewek, lecz Jezioro Włoskiejewki. Często słyszałem legendy i opowieści o nim związane. Potrafiły one pobudzić wyobraźnię i wywoływały chęć jego poznania. Pierwsze wyprawy nad jezioro to wyjazdy z tatą. Jeździliśmy tam na ulegalki, które mama suszyła, a następnie wykorzystywała w domowej kuchni.

Moje wyobrażenia nie odbiegały od rzeczywistości, wrażenie było niesamowite, jak dziś pamiętam ciemną toń jeziora z odbijającymi się

w nim drzewami, las pogłębiał te wrażenia. Swym wyglądem jezioro i otaczająca je przyroda budziły podziw i szacunek, a nawet poczucie strachu. Później wielokrotnie byłem w tym miejscu i zawsze zauroczony byłem otaczającą mnie przyrodą. Dziś te tereny są własnością prywatną. W samej wsi moje zainteresowanie wzbudził park wokół dworu, a właściwie dwa rosnące tam platany. Wcześniej takich drzew nie widziałem i wywarły one na mnie olbrzymie wrażenie. Podczas późniejszych wycieczek zacząłem doceniać kościół i dwór. Uważam, że te dwa obiekty to perełki architektury, a platany zachwycają swoim pięknem i dostojnością. Wszystko to wraz z piękniejszymi terenami, na których położona jest wioska, warte jest zobaczenia.

Trzecim miejscem, do którego chcę czytelników zaprosić to Gogolewo, leżące 4 kilometry na północ od Książa. We wsi znajdują się dwa obiekty, które zasłużyły na uwagę. Pierwszy to klasycystyczny dworek z końca XVIII w., ładnie odrestaurowany. Przez pewien czas pełnił on funkcję ośrodka wypoczynkowego, obecnie jest własnością prywatną.

Drugim obiektem jest Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego z 1779 r., położony niemal nad rzeką Wartą. Drewniany o konstrukcji szachulcowej jedynie na zewnątrz oszalowany deskami. Dachy kryte są drewnianymi gontami. Wyposażenie wnętrza, barokowo-rokokowe,



Pałac w Gogolewie

pochodzi z okresu jego powstania.

Gogolewo, kościół, Warta stały się takimi przeze mnie ulubionymi miejscami w ostatnim dwudziestolecu. Często przebywałem w tamtej okolicy i każdy pobyt przekonywał, że warto to miejsce odwiedzić. Mnie zauroczył fakt, że w jednym miejscu łączy się historia ze wspaniałym zabytkiem i to wszystko znajduje się w otoczeniu wspaniałej przyrody i rzeki Warty. Czy tak jest warto się samemu przekonać.

Z kościołem, jego historią współczesną i funkcjonowaniem związana jest osoba Pana Pawła Walkowiaka, opiekuna kościoła. Pan Paweł to mieszkaniec Gogolewa, wielokrotny radny i przewodniczący Rady Gminy w Książu. Jest on osobą, która praktycznie wie o kościele wszystko. Ile razy spotykamy się w Gogolewie, zawsze od Pana Pawła dowiaduję się czegoś nowego. Jest on skarbonką wiedzy o samym kościele, historii i wydarzeniach z nim związanych. Wielokrotnie namawiałem Pana Pawła, by tę swoją wiedzę przelał na papier i może przy pomocy władz gminnych wydał przewodnik, który byłby wspaniałą lekturą o kościele. Jeśli ktoś z Państwa trafi do Gogolewa i będzie chciał zwiedzić kościół, to może poprosić o przedstawienie historii kościoła. Proszę mi wierzyć, Pan Paweł jest wspaniałym gawędziarzem, w jego towarzystwie nie zauważą

Państwo upływającego czasu. Gogolewo to również rzeka Warta, gdzie można odpocząć, zapoznać się z okolicą, która również ma ciekawą historię.

Moje wspomnienia z lat dzieciństwa i młodości związane są z kompleksem leśnym, znajdującym się między wioską Świączyń, leżącą niedaleko Gogolewa, a Książem. Te wspomnienia są bardzo osobiste, związane z tatą i wyprawami na grzyby. Tata wychowany w gospodarstwie położonym na leśnej polanie, kochał przyrodę i potrafił z nią obcować. To zamiłowanie i wiedzę starał się mi przekazać. Jak każdy grzybiarz, miał swoje grzybodajne miejsca, szkopał w tym, że nie był jedyny. Dlatego taka wyprawa zaczynała się wcześniej i była wielką loterią, ale jaka radość gdy wyprzedziliśmy innych. Powiem tak, że różnie bywało, ale grzyby w dużych ilościach znajdowaliśmy.

Patrząc z perspektywy minionych lat, te wyprawy, to były wspaniałe lekcje przyrody, podczas których tata przekazywał mi swoją wiedzę o lesie, zwierzętach, grzybach, ogólnie mówiąc o przyrodzie i o tym jak z nią obcować.

Później wielokrotnie przebywałem w okolicy tych lasów, ale nigdy w dorosłym życiu nie przeszedłem ścieżek, którymi chodziliśmy z tatą. Wolę zachować w pamięci te wyprawy z tatą, bo



Pałac w Zaborowie

są to jedne z najwspanialszych wspomnień w moim życiu. Po powrocie nasze zbiory przejmowała mama, ona decydowała co z nimi zrobić. Wspólnie z tatą oczyszczała – ja byłem kibicem, a później pomagałem nawlekać na nitki, te które były przeznaczone do suszenia. Część oczyszczonych specjalnie wybranych grzybów mama odkładała osobno. Uwielbiałem potrawy z grzybów przygotowane przez mamę, a szczególnie zupę grzybową. Do dnia dzisiejszego podstawowym dla mnie daniem są suszone grzyby z tłuszczem i ziemniakami. Te odłożone grzyby mama dzieliła i pakowała osobno, a ja nosiłem do kilku starszych sąsiadek. Początkowo buntowałem się, dlaczego najlepsze grzyby mamy oddawać innym i wtedy usłyszałem od mamy, że przecież nazbieraliśmy, tyle że starczy nie tylko dla nas, a tym paniom, które same na grzyby się nie wybiorą, sprawimy przyjemność.

Z Gogolewa proponuję powrót przez Świaczn – można zobaczyć ciekawe zabudowania folwarku, a następnie przez Boguszynek. Rok temu chciałem pokazać okolice mojej młodości znajomym i nagle przy drodze zauważyłem drewniany kościół. Przeżyłem zdumienie, bo byłem przekonany, że w tym miejscu nigdy nie było kościoła. Miałem rację, ale skąd ten kościół znalazł się w tym miejscu. Chcąc się tego dowiedzieć, proponuję poszukać w internecie.

Wracając do Śremu proponuję drogę przez Kielczynek, Zaborowo, Sroczewo i Chrzastowo. Dlaczego ta droga? W Zaborowie, w niestety zaniedbanym parku krajobrazowym, znajduje się wspaniały, niestety również mocno zaniedbany eklektyczny pałac z początku XX w., który warto zobaczyć.

A Sroczewo to miejscowość, w której wakacje spędzała Wisława Szymborska, laureatka Nagrody Nobla. Warto skrócić na tzw. „dęby sroczewskie” i osobiście sprawdzić co mogło w nich Panią Szymborską zachwycić, że tak bardzo lubiła tam przejeżdżać.

Pisząc o Książu, o moich magicznych miejscach, przepraszam za wątek osobisty, bo pisząc ten artykuł mimo woli wróciłem do lat dzieciństwa i młodości. Mój wybór miejsc związanych z Książem jest bardzo subiektywny. Myślę, że osoby znające Książ i jego okolice mogą wskazać zupełnie inne miejsca.

Jedno jest pewne: Książ i okolice są warte poznania, do czego Państwa zapraszam, na pewno nie pożałujecie.

Zdzisław ŻELEŹNY
fot. zbiory autora

20 lat Studia Plastyki Śremskiego Ośrodka Kultury cz. II

Nieodłączną częścią współczesnej edukacji plastycznej są plenery i wycieczki do muzeów oraz na wystawy czasowe. Plenery stały się obowiązkowe w uczelniach artystycznych mniej więcej w połowie XIX w. pod wpływem tzw. barbizończyków czyli artystów francuskich, którzy tworząc luźne grupy twórcze wyjeżdżali w okolice Paryża /koło wsi Barbizon/ malować w plenerze. Nie było to ustawianie sztalug, obserwowanie zmieniającej się natury, jak to później robili impresjoniści, i praca bezpośrednio w pejzażu, ale kontemplowanie jej, szkicowanie, prowadzenie zapisków i notatek, a później przenoszenie ich na płótno w pracowni. Po doświadczeniach impresjonistów grupy

studentów akademii w całej Europie wyjeżdżały w plener obserwować i malować pejzaże. Trwa to do dziś, choć częściej ma charakter wspólnej pracy nad jakimś określonym tematem niż artystycznym poznawaniem okolicznej przyrody. Ważnym elementem jest dzielenie się doświadczeniami, wzajemna korekta i dyskusje o sztuce.

Nasze wyjazdy plenerowe zaczęły się w roku 2003 spotkaniem w Zaniemyślu. Później było Cichowo, Solec, Kocień, Dębogóra, Lubiatówko, Jaszkwowo i Trąbinek /niektóre miejsca odwiedzaliśmy dwu lub trzykrotnie/. Szczególną naszą sympatią cieszą się pobyty u

W Krakowie





W Krakowie

pani Zofii Kmiecik /Lubiatówko, Trąbinek/, gdzie panuje rodzinna atmosfera i jest znakomita kuchnia.

Niezależnie od plenerów staram się organizować wyjazdy do znanych muzeów /Poznań, Bydgoszcz, Łódź, Wrocław, Kraków, Berlin/ i na głośne wystawy czasowe jak np. Alessandro Mendinię we Wrocławiu, czy Salvadora Dali w Berlinie...

Już w październiku wybieramy się na wystawę Botticellego w stolicy naszych zachodnich sąsiadów.

Urszula ŁUKOMSKA

I znów dołączam notatki moich miłych kursantów:

Miło wspominać wszystkie plenery, w których miałam okazję uczestniczyć. Dbanie tylko o własną wygodę, miłe i sympatyczne towarzystwo (na ogół wyłącznie damskie!), dobre jedzenie (przeważnie!) i SZTUKA.

W tym krótkim tekście chciałabym opowiedzieć o pierwszym wyjeździe, na który pojechałam wraz z Iloną – wówczas tylko my dwie brałyśmy

czynny udział w zajęciach Studium Plastyki, grupa dorosłych jeszcze nie istniała. Poza nami w spotkaniu miały uczestniczyć „kursantki” Uli z – powstałej wcześniej – grupy poznańskiej.

Spotkanie „miłośniczek sztuki” odbywało się w Dębogórze. „Dziewczynki” (jak mawia Ula) przyjechały nieco wcześniej, a ja i Ilona dojeżdżałyśmy w porze obiadowej. Pierwsze kroki skierowałyśmy do jadalni, gdzie właśnie w całkowitej ciszy spożywano posiłek... Wszystkie głowy pochylone nad talerzami, łyżki w skupieniu zanurzone w zupie – idealna scena bardzo smutnej uroczystości. Wymieniłyśmy między sobą przerażone spojrzenia; gdyby nie obecność Uli (również jedzącej w ogromnym skupieniu), pomyślałybyśmy, że pomyliłyśmy imprezy!

Wkrótce poznałyśmy powód niezwyklej ciszy: kucharka przygotowująca posiłki „postanowiła” właśnie w ten weekend wyjść za mąż, a właścicielka – czyli nasza gospodyni – zastąpiła ją w kuchni. Piękne, apetyczne i świeże produkty potrafiła zamienić w coś zupełnie niejadalnego! Nasze przemile koleżanki wykazały się niemałą odwagą i determinacją próbując je spożywać. Na radosne rozmowy nie starczyło im już siły.

Po wyjściu z jadalni bawiliśmy się świetnie! Do dziś wspominam fantastyczną atmosferę wyjazdu, a poza wspomnieniami przywiozłam – jak z każdego pleneru – najlepsze pamiątki: moje własne prace.

Mirka TOMCZAK

Plener. Samo to słowo nastraja mnie pozytywnie. Czas wolny, kiedy mogę oddać się swoim myślom, malowaniu, rysowaniu, a także rozmowom z koleżankami, które oddają się tej samej pasji. Tych plenerów było już sporo i miejsc, które odwiedziliśmy: Dębogóra, Kocień, Zaniemyśl, Solec, Lubiatówko i Trąbinek. W kilku miejscach byliśmy wielokrotnie, skuszone wspaniałą atmosferą i pysznym jedzeniem, serwowanym przez gospodarzy. Lubimy być ze

sobą, rozmawiać, śmiać się i „tworzyć”, (bez zadęcia na bycie artystkami). Tę fantastyczną atmosferę przedłużamy spotykając się prywatnie, u mnie czy u Ewy w ogrodzie, u Uli, w Doliwcu u Marysi, u Miłki w Mieczewie. Andrzej zorganizował również plener na naszej sremskiej miejskiej przystani. Czas pleneru to czas dla mnie magiczny, kiedy wracam do domu, czuję, że moje baterie zostały pozytywnie naładowane. W ciągu roku wyjeżdżamy na małe wypady we własnym gronie. Byliśmy w Berlinie, Łodzi, Płocku, Krakowie, Bydgoszczy i we Wrocławiu, za każdym razem odkrywamy na nowo świat sztuki i magię zabytków architektury. Teraz planujemy wyjazd do Torunia, bo wciąż nam mało...

Ilona KUTA

Przed pałacem w Lubostroniu





Śremski Ośrodek Kultury

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel. 61 2835904, fax 61 2810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl

NOWY SEZON
SZKOŁY TAŃCA w ŚOK

ZAJĘCIA W SOBOTY
OD:
3 PAŹDZIERNIKA

ZAJĘCIA PROWADZI:

GRUPA
6-12 LAT
GODZ.:
13.15-14.15
HIP-HOP

KOSZT: 30 ZŁ/MC
ZAPISY I INFORMACJE W ŚOK LUB POD NR TEL.: 61 28 35 904

GRUPA
OD 16 LAT
GODZ.:
14.30-16.00
GRUPA TANECZNA
"FLAWLESS"
HIP-HOP
NEW AGE

 **Śremski Ośrodek Kultury**

SZKOŁA TAŃCA w ŚOK
DLA DOROSŁYCH

KAŻDY PIĄTEK
GODZ.: 18.00 - 19.00
PIERWSZE ZAJĘCIA
2 PAŹDZIERNIKA

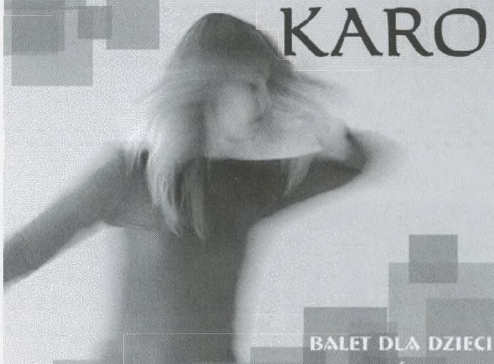
ZAJĘCIA PROWADZI:
JULIA
JABŁOŃSKA

KOSZT: 30 ZŁ/MC
ZAPISY I INFORMACJE W ŚOK LUB POD NR TEL.: 61 28 35 904

GRUPA
WIEKOWA 30+
CWICZENIA
SPORTOWE
ELEMENTY HIP-HOPU
NEW AGE
DANCEHALLU

 **Śremski Ośrodek Kultury**

SZKOŁA TAŃCA KARO



BALET DLA DZIECI
TANIEC WSPÓŁCZESNY
STREET DANCE I HIP-HOP
DANCEHALL DLA MŁODZIEŻY I DOROŚLYCH
TANIEC WĘSEŁNY I TOWARZYSKI
GYMNASTYKA ARTYSTYCZNA - NOWOŚĆ!

ZAPISY I INFORMACJE
POD NR TEL.: 507 155 499

 **Śremski Ośrodek Kultury**

POLSKI DZIEŃ BLUESA w ŚREMIE

90 rocznica urodzin Króla Bluesa B. B. KINGA

19 WRZEŚNIA

NOWE MIEJSCE IMPREZY!!!

PROMOCJA - 50 %
na wszystkie dania z karty

KONCERTY:
TORTILLA
BLUES POINT
RUBENS BAND

PONADTO:
WARSZTATY TAŃCA
ZYDECO - TO SIĘ TĄNCZY!!!
godz. 14.00 i 19.00,
każdy uczestnik otrzymuje kapelusze

STUDIO MELODY BLUESOWO
godz. 13.00 - prezentacje
godz. 17.15 - recital Filipa Pjaskiego i Aleksandry Miziańskiej
godz. 18.45 - recital Aleksandry Wrotyńskiej i Szymona Mikulskiego



 **Śremski Ośrodek Kultury** DLA PRZETĄCZOLIKICH, UCZNIÓW SZKÓŁ PODSTAWOWYCH, GIMNAZJALNYCH ORAZ PODROZIMOWYCH DLA WIEKOWYCH MIESZKAŃCÓW

DZIAŁAJ Z NAMI - BĄDŹ EKO!!!

KONKURSY

1. FOTOGRAFICZNY "ORZYM OBIĘTYWU ZOBACZYĆ RAJ"
2. PLASTYCZNY "TWÓRCZY RECYKLING"

PROJEKT "EKOLOGICZNY RYTM ŚREM 2015"

WYSTAWY

KINOTEATR SEKONKO
1. ZADBAJ O KLIMAT wrzesień 2015
2. KWIATY ZAMIAST ŚMIECI październik 2015
3. KOCHASZ DZIECI - NIE PAŁ ŚMIECI! listopad 2015

HAPPENING EKOLOGICZNY

"KOCHASZ DZIECI - NIE PAŁ ŚMIECI!" 30 września 2015

KOMIKS

WYKONANIE: NIKO, SYMON, LUCAS
"DZIECI I ŚREM"

"NIEZWYKŁE PRZYGODY Z KROPELKĄ WODY"
INTEGRACJA EKOLOGICZNA WARSZTATY I KONKURSY
Realizowany przez:  **Śremski Ośrodek Kultury**

"ZADBAJ O KLIMAT"
WARSZTATY

szczególne na ulotkach oraz na www.sor.stm.pl

 **Śremski Ośrodek Kultury**

studio plastyki

zajęcia dla dzieci i młodzieży prowadzone przez doświadczonych artystów plastyków

studio zaprasza wszystkie osoby, które kochają rysować i malować do zabawy ze sztuką plastyczną w Ośrodku Kultury

zapraszamy w każdą sobotę miesiąca na godzinę 10.00

Koszt zajęć:
dzieci i młodzież, emeryci i renciści - 40 zł/m.-c.,
dorośli - 50 zł/m.-c.

Materiały plastyczne we własnym zakresie.

Pierwsze spotkanie: 3 października

Zapisy i informacje w Śremskim Ośrodku Kultury, tel. 61 28 35 904.



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Poznaniu



KONCERT

"Z ARIĄ I PIOSENKĄ PRZEZ ŚWIAT"

w wykonaniu artystów scen poznańskich:



BARTOSZ
KUCZYK



KAROLINA
GARLIŃSKA



JAROSŁAW
PATYCKI

18 PAŹDZIERNIKA, GODZ. 16.00

NOWE MIEJSCE KONCERTU!!!

SALA WIDOWISKOWA SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ
UL. CHŁAPOWSKIEGO 5

BILETY: 20 ZŁ NORMALNE, 15 ZŁ DLA EMERYTÓW
REZERWACJE W ŚOK LUB POD NR TEL.: 61 28 35 904.

ORGANIZATORZY:



KONCERT JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI QUARTET

KINOTEATR
"SŁONKO"



28.10
GODZ.:
19:00

BILETY: 40 ZŁ

ZAPISY I INFORMACJE W ŚOK LUB POD NR TEL.: 61 28 35 904

KABARET SKECZÓW MĘCZĄCYCH



11.10.2015r, godz. 16:00, Hala widowiskowo-sportowa BAZAR
bilety: 50zł, rezerwacje w ŚOK, tel. 61 28 35 904

www.sok.srem.pl

www.biletynakabarety.pl

Tacy sami

Na stronie internetowej Fundacji dr Lucy, powstałej w 2007 roku z inicjatywy pani Lucyny Własińskiej, czytamy: *Chcemy być zbędni i wierzymy, że nadejdzie dzień, w którym fundacje ratujące ofiary ludzkiego okrucieństwa nie będą potrzebne... Ale dopóki żyją w naszym kraju ludzie wierzący w lecznicze właściwości smalcu z psa, dopóki nasze społeczeństwo nie dostrzega nic „społecznie szkodliwego” w dręczeniu i katowaniu psów, dopóki psy dożywają swych dni na metrowych łańcuchach wrośniętych w ich szyje, dopóki metodą ograniczania populacji psów jest topienie, zakopywanie czy palenie*

żywych szczeniąt, dopóki lasy zapelniają się w wakacje uwięzonymi do drzew zwierzętami – dopóty nie będzie za dużo ludzi, organizacji i instytucji próbujących zmienić psi los.

Mimo, że można już usłyszeć zdecydowane głosy w obronie zwierząt (czego przykładem są liczne artykuły w prasie, programy telewizyjne i radiowe, a nawet zapadłe wyroki sądowe za znęcanie się nad zwierzętami), to nigdy nie będzie za dużo mówienia i przypominania o losie czworonożnych przyjaciół człowieka. Takim głosem jest prowadzona obecnie w naszym powiecie akcja społeczna zatytułowana „Tacy



sami”. Jej organizatorem jest Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt w Gaju, Fundacja dr Lucy i Biblioteka Publiczna w Śremie. Na bilbordach i materiałach reklamowych działań pojawiło się motto: „Nie ważne kim jesteś, ważne co dajesz innym”. Celem projektu jest uwrażliwienie nas wszystkich na los bezdomnych zwierząt oraz rozbudzanie tolerancji wobec ludzi, zwierząt i siebie samych. Wszyscy, niezależnie od wyglądu i statusu społecznego, jesteśmy tacy sami!

Podczas zaplanowanych działań, w ciągu trzech miesięcy (od początku września do końca listopada 2015 r.) w Bibliotece Publicznej w Śremie, organizowane są spotkania, rodzinne konkursy (plastyczny, fotograficzny i literacki), wystawy i koncerty muzyczne.

Od 1 września można oglądać w bibliotece niezwykłą galerię kilkudziesięciu zdjęć (formatu 50x70 cm), nieodpłatnie przekazanych na wystawę przez wolontariuszy związanych ze Schroniskiem w Gaju. Autorami fotografii są: Anna Drgas, Anna Laska-Szmyt, Karolina Pieprzyk, Łukasz Pietrzak i Damian Szmyt. Autorzy zdjęć ukazują wielorakie, często bardzo wzruszające, relacje między człowiekiem a psem. Wystawa, ciesząca się dużym zainteresowaniem zarówno dzieci jak i dorosłych, czynna będzie do końca listopada.

Wrzesień, to również czas pierwszego rodzinnego konkursu – plastycznego. Rodzinnego, bo prace plastyczne tworzą dzieci wraz z rodzicami. To wspaniała okazja, by w gronie najbliższych, w pięknej relacji rodzic-dziecko, spełnić się twórczo. Wystarczy odwiedzić oddział dziecięcy biblioteki i wspólnie narysować, namalować, wykleić – czyli „Wysmyczyć Psa” – bo taki tytuł noszą konkursy. W październiku odbędzie się konkurs fotograficzny, a w listopadzie literacki. Celem

konkursów jest propagowanie pozytywnego stosunku do zwierząt. Tematem wszystkich prac konkursowych powinno być ukazanie świata psów i ich relacji z człowiekiem, opartej na szacunku i przyjaźni. Wszystkie powstałe w bibliotece dzieła znajdą się na wystawie, a najciekawsze zostaną nagrodzone podczas koncertów muzycznych pod wspólnym tytułem – „Koncerty Pod Psem”.

W październiku wystąpi Anna Laska-Szmyt wraz z zespołem, a w listopadzie zespół „Ogień” z Kościana. Wstęp na koncerty jest bezpłatny. Podczas występów na pewno będzie okazja do porozmawiania na temat akcji, nagrodzenia autorów nagrodzonych prac plastycznych, fotograficznych i literackich oraz podziękowania wolontariuszom. A już teraz podziękowania za akcję należą się osobom najbardziej zaangażowanym w akcję: Pauli Piaseckiej, Michałowi Błaszakowi, Grzegorzowi Kałużnemu, Jackowi Krawczykowi oraz bibliotekarkom – Magdalenie Karasiak i Elżbiecie Urbanek.

Szczegółowe informacje o akcji znajdziemy na stronach internetowych biblioteki, schroniska w Gaju i fundacji dr Lucy.

Jerzy KONDRAS



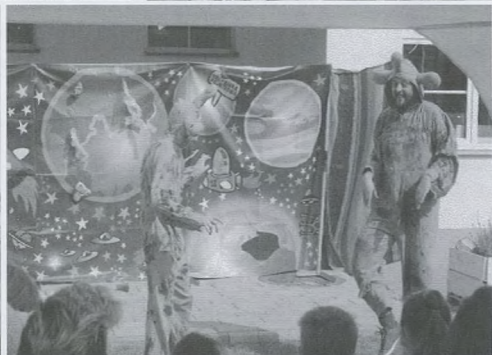
Biblioteka

Publiczna im. H. Święckiego
w Śremie

63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel. 61 2835467, 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl

Wakacje w Bibliotece 2015







Grzegorz Chabura

Prezes firmy REHAU w Nochowie

Gazeta Śremska

siedziba redakcji - Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89,
tel. 61 2835938, kom. 533 875 030
e-mail: muzeum@srem.pl www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Barbara JAHNS (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korektorka)

Projekt okładki i układu typograficznego:

Patrycja ŁUKOMSKA

Okładka:

Aranżacja: - Szymon Majewski

Skład i druk:

DRUKARNIA TOMCZAK Ewa Osiewicz
tel. 61 2841208 www.drukarniasrem.pl



ul. Seweryna Matuszewskiego
FOTOGRAFIA ZE ZBIORÓW MUZEUM ŚREMSKIEGO

DOKUMENTY.



FOTOGRAFIA WSPÓŁCZESNA
AUTOR: Szymon Majewski



Amadeusz
reż. P. Szkotak,
Teatr Polski w Poznaniu
fot. M. Zakrzewski
na zdjęciu Romana Filipowska